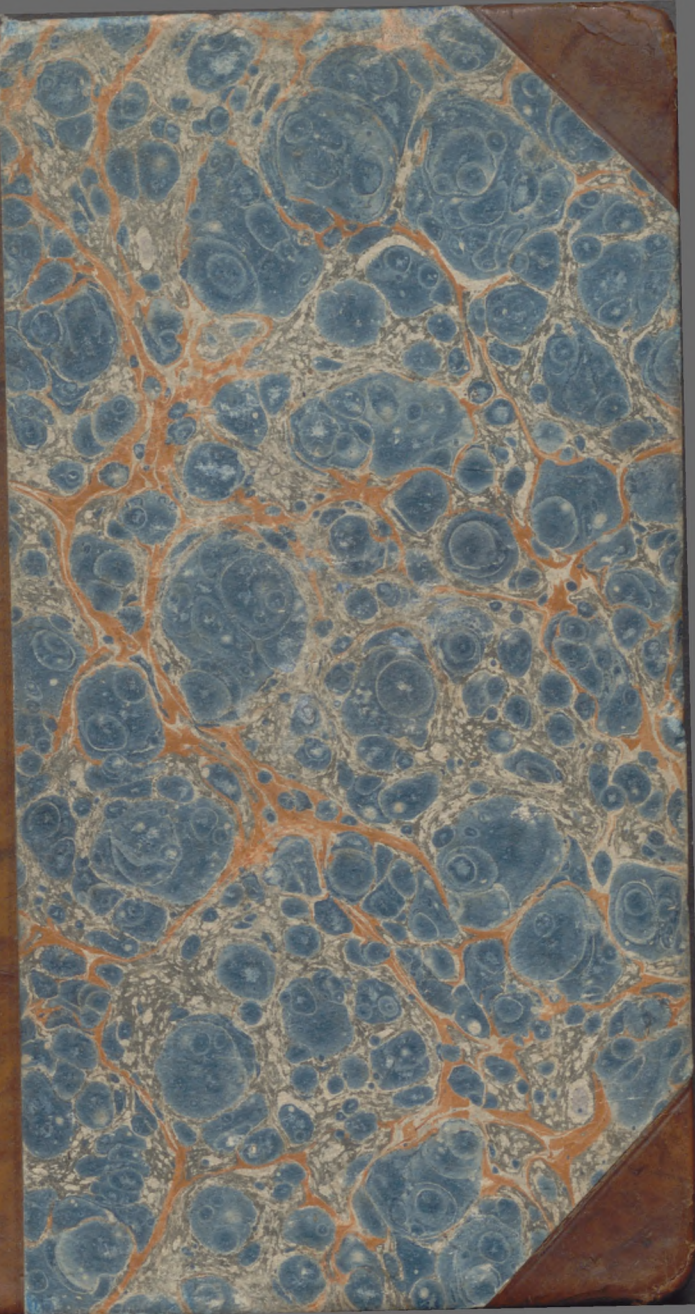


MICKIEWICZ

PAN
TADEUSZ

1

1834



Michiewiciaua



ZBICH

ALFREDA BIRKENMAYERA

PAN TADEUSZ.

WARSZAWA
W Drukarni Księżniczki
1831

W TYPOGRAFJI A. PINARD,
PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, 15.



A. MICKIEWICZ.

Podług Medalonu wykonanego w Weymarze 1849
przez P. Dawida Członka Instytutu Francyi.

*Stefanowi Miłwickskiemu
poświęca ziomek, towarzysz i przyjaciel.
Antoni Oleczyński.*

1834

Jeppena per Dier

PAN
T A D E U S Z

CZYLI
OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

—
TOM PIERWSZY.

—
Wydanie Alexandra Gielowickiego,
S POPIERSIEM AUTORA.

—
PARYŻ.

—
1834.

ROZDZIAŁ
PIERWSZY

WYKAZ PRACOWNIKÓW

WYKAZ PRACOWNIKÓW

WYKAZ PRACOWNIKÓW

WYKAZ PRACOWNIKÓW

K. 1374/48



WYKAZ PRACOWNIKÓW

1911

GOSPODARSTWO.

KSIEGA PIERWSZA.

1.

1.

GOSPODARSTWO.

TREŚĆ.

- Powrót panieca — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu
— Ważna Sędziego nauka o grzeczności — Podkomorzego uwagi
polityczne nad modami — Początek sporu o Kusego i So-
koła — Żale Wojskiego — Ostatni Woźny Trybunału
— Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i
Europy.
-

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.
Panno święta, co jasnej bronisz Czętochowy
I w Ostrój świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogródzki ochraniaś z jego wiernym ludem !
 Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
 (Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
 Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
 I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
 Iść za wrócone życie podziękować Bogu;)

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.
 Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rościagnionych;
 Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
 Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
 Gdzie bursztynowy świercop, gryka jak śnieg biała,
 Gdzie panicńskim rumieńcem dzięcielina pała,
 A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
 Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
 Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
 Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
 Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
 Tém bielsze że odbite od ciemnej zieleni

Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
 Dóm mieszkalny niewielki lecz zewsząd chędogi,
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
 Użądka, co pod strzechą zmieścić się niemoże;
 Widać że okolica obfita we zboże,
 I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszerz smugów
 Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
 Orzących wczesnie łany ogromne ugoru
 Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
 Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek :
 Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
 Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
 Że gościnną, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwókonną bryką wjechał młody panek
 I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
 Wysiadł s powozu; konie porzucone same,
 Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
 We dworze pusto : bo drzwi od ganku zamknięto
 Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.
 Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
 Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać,

Dawno domu niewidział; bo w dalekiem mieście
 Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
 Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
 Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
 Też same widzi sprzęty, też same obicia,
 S kłóremi się zabawiać lubił od powicia;
 Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.
 I też same portrety na ścianach wisiały.
 Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
 Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
 Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
 Że tym mieczem wypędzi s Polski trzech mocarzów,
 Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
 Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,
 W rękę trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
 A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
 Dalej Jasiński młodzian piękny i posepny;
 Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny
 Stoją na szanecach Pragi, na stosach moskali
 Siekąc wrogów a Praga już się w koło pali.
 Nawet stary stojący zegar kurantowy
 W drewnianej szafie poznał, u wniescia alkowy;

I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
 By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.
 Biegał po całym domu i szukał komnaty
 Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.
 Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice
 Po ścianach; w tej komnacie mieszkanie kobiece?
 Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonały;
 A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
 To niebył ochmistrzyni pokój? Fortepiano?
 Na niem noty, i książki; wszystko porzucano
 Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!
 Niestare były rączki co je tak rzuciły.
 Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
 Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
 A na oknach donice s pachnącemi ziołki,
 Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
 Podróżny stanął w jedném z okien — nowe dziwo:
 W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą
 Był maleńki ogródek ścieszkami porznięty,
 Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.
 Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek

Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
 Grządki widać że były świeżo polewane;
 Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
 Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
 Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzewiczki
 Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
 Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,
 Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;
 Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu
 Chybkim był zostawiony nożkami drobnymi
 Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,
 Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,
 Oblicze aż na krzaki fijołkowe skłonił,
 Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,
 I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,
 Myślał o nich i czyje były odgadywał.
 Przypadkiem oczy podniósł, i tuż na parkanie
 Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie
 Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
 Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.

W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,
 W takim nigdy niebywa od męszczyzn widziana;
 Więc choć świadka nie miała, założyła ręce
 Na piersiach, przydając zasłony sukience.
 Włós w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
 Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
 Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
 Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
 Twarzy nie było widać, zwrócona na pole
 Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
 Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
 Jak białe ptak zleciała s parkanu na błonie,
 I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
 I po desce opartej o ścianę komnaty,
 Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
 Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
 Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
 W tém ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła
 Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
 Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
 Jak obłok gdy z jutrenką napotka się ranną;
 Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,

Chciał coś mówić, przeproszać, tylko się uklonił
 I cofnął się; dziewica krzyknęła boleśnie,
 Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
 Podróżny zląkł się, spójrzył, lecz już jej nie było,
 Wyszedł zmieszany i czuł że serce mu biło
 Głośno, i sam niewiedział czy go miało śmieszyć
 To dziwaczne spotkanie, czy wstydzic, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nieuszło baczości,
 Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
 Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano
 Jako w porządnym domu i obrok i siano:
 Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowej mody,
 Odsyłać konie gości żydom do gospody.
 Słudzy niewyszli witać, ale niemyśl wcale
 Aby w domu Sędziego służono niedbale;
 Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,
 Który teraz za domem urządzał wieczerzę.
 On Pana zastępuje i on w niebytności
 Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
 (Daleki krewny pański i przyjaciel domu).
 Widząc gościa na folwark dążył pokryjomu;

(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)
 Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie
 Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
 Że u wieczerzy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował
 I s krzykiem podróznego sciskał i całował;
 Zaczęła się ta prętka, zmieszana rozmowa,
 W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
 Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
 Wykrzykników i westehnień i nowych powitań.
 Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabażał,
 Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

« Dobrze mój Tadeuszu, » (bo tak nazywano
 Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
 Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)
 « Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
 Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
 Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;
 Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
 Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,

Dla skończenia dawnego s Panem Hrabią sporu,
 I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
 Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.
 Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
 A starzy i kobiety żniwo oglądają
 Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
 Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy
 Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.»

Pan Wojski s Tadeuszem idą pod las drogą
 I jeszcze się dowoli nagać niemogą.
 Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,
 Mniej silnie ale szerzej niż we dnie świeciło,
 Całe zacerwienione, jak zdrowe oblicze
 Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
 Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
 Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty
 Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
 Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
 I bór czernił się naksztalł ogromnego gmachu,
 Słońce nad niem czerwone jak pożar na dachu;
 Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary

Błysnęło, jako świeca przez okienie szpary,
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
 We zbożach, i grabliska suwane po łące,
 Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe,
 U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.
 « Pan świata wie jak długo pracować potrzeba;
 « Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,
 « Czas i ziemianinowi ustępować s pola. »
 Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola
 Była Ekonomowi pocziwemu święta,
 Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto
 Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;
 Cieszą się z niezwyčajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,
 Wesoło lecz w porządku; napród dzieci małe
 Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,
 Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;
 Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;
 Panny szły przed młodzieżą o jakie pół króku,
 (Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rosprowiał
 O porządku, nikt mężczyzn i dam nie ustawiał,



A każdy mimowolnie porządku pilnował.
 Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,
 I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu
 Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu ;
 Tym ładu, mawiał, domy i narody słyna,
 Z jego upadkiem domy i narody gina.
 Więc do porządku wykli domowi i słudzy ;
 I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy
 Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
 Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego s synowcem witania,
 Dał mu poważnie rękę do pocałowania
 I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił ;
 A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,
 Widać było z łez, które wylotem kontusza
 Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
 I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.
 Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
 I wznosi chmurę pyłu ; dalej zwolna kroczy

Stado cielie tyrolskich z mosiężnymi dzwonki.
 Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki ;
 Wszystko bieży ku studni, której ramie z drzewa
 Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
 Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności,
 Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora
 Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,
 Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,
 Bo Sędzia wie że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni
 Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,
 Bo w niebytność Wojskiego Woźny pokryjomu
 Kazał stoły z wieczerzą powynosić z domu,
 I ustawić co prędzej w pośrodku zameczyska,
 Którego widne były pod lasem zwaliska.
 Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
 I przepraszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,
 Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,
 Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.

Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,
 Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;
 We dworze żadna izba nie ma obszerności
 Dostatecznej dla tyłu, tak szanownych gości,
 W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,
 Sklepienie całe — wprawdzie pękła jedna ściana,
 Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;
 Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.
 Tak mówiąc, na Sędzię mrugał; widać z miny,
 Że miał i taił inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
 Okazały budową, poważny ogromem,
 Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków;
 Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszko-
 Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,
 Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
 W części spadły dalekim krewnym po kądzieli,
 A resztę rozdzielono między wierzycieli.
 Zaniku żaden wzięść nie chciał, bo w szlacheckim stanie
 Trudno było wyłożyć koszt ua utrzymanie;
 Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,

Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
 Przyjechawszy z wojażu upodobał mury
 Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;
 Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,
 Że Architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.
 Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu
 Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.
 Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,
 W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie;
 Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,
 Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał że w zamkowej sieni
 Zmieści się i palestra i goście proszeni.
 Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem
 Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
 Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;
 Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi
 Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
 Tuż myśliwców herbowne klejnoty wryte,
 I stoi wypisany każdy po imieniu;
 Herb Horeszków Półkozic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
 Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
 Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
 Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
 I chołdziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,
 Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
 Między nim i stryjaskiem jedno pozostało
 Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
 Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,
 Jakby czyjgoś przyjścia był pewny i żądał.
 I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
 I z nim na miejscu pustém oczy swe osadzał.
 Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
 Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,
 Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna;
 Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.
 To miejsce jest zagadką, młódz lubi zagadki;

Rostargniony, do swojej nadobnej sąsiadki
 Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,
 Nie zmienia jęj talerzów, nie nalewa szklanki,
 I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,
 S którychby wychowanie poznano stołeczne;
 To jedno puste miejsce nęci go i mami,
 Już niepuste, bo on je napełnił myślami.
 Po tém miejscu biegało domysłów tysiące,
 Jako po deszczu żabki po samotnej łące;
 Śród nich jedna królóje postać, jak w pogodę
 Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. W tém pan Podkomorzy,
 Wławszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
 A młodszej przysunawszy s talerzem ogórki,
 Rzekł: « Muszę ja wam służyć, moje panny córki,
 Choć stary i niezgrabny. » Zatem się rzuciło
 Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
 Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
 I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
 Nalał węgryzna i rzekł: « Dziś nowym zwyczajem,
 My na naukę młodzię do stolicy dajem,

I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
 Mają od starych więcej książkowej nauki,
 Ale co dzień postrzegam jak młódź cierpi na tém,
 Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
 Dawniej na dwory pańskie jachał szlacheic młody,
 Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
 Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
 (Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
 On mnie radą do usług publicznych sposobił,
 Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.
 W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
 Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
 Jeźlim tyle na jego nie korzystał dworze
 Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
 Gdy inni więcej godni Wojewody względów
 Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,
 Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
 Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu,
 W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,
 Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
 Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
 Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;

Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka
 Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
 Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
 Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
 I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana
 Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.
 Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
 I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.
 I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
 Była to historia żyjąca krajowa,
 A między szlachtą dzieje domowe powiatu:
 Dawano przez to poznać szlacheicowi bratu,
 Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
 Więc szlacheic obyczaj swe trzymał pod strażą.
 Dziś człowieka nie pytaj: co zasz? kto go rodzi?
 S kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi,
 Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
 Jak ów Wespazjanus nie wachał pieniędzy,
 I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów;
 Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
 Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,
 Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi.

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
 Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
 Wiedział, że niecierpliwa młodzież terazniejsza,
 Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
 Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem;
 Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,
 Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
 Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.
 Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
 Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
 I dalej mówił: « Grzeczność nie jest rzeczą małą:
 Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
 Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
 Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
 Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,
 Musim kogoś posadzić na przeciwnę szali.
 Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej
 Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej;
 Zwłaszcza gdy zaeność domu, fortuny szczodroty,
 Objasniają wrodzone wdzięki i przymioty.
 Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
 Wspaniały domów sojusz — tak myśleli starzy.

A zatem — Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy
 Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,
 Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

W tém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
 I rzekł: « Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!
 Teraz niewiem czy moda i nas starych zmienia,
 Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorzenia.
 Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny
 Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!
 Gdy raptem paniczki młode s cudzych krajów
 Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
 Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiary,
 Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
 Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
 Gadających przez nosy, a często bez nosów,
 Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,
 Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
 Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;
 Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przepuszcza,
 Odbiera naprzd rozum od Obywateli.
 I tak, mędrsi fireykom oprzecz się nie śmieli,

I zląkł ich się jak dzumy jakiej cały naród,
 Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;
 Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
 Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.
 Była to maszkarada, zapustna swawola,
 Po której miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

« Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,
 Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,
 Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku,
 Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
 Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,
 Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
 Stała Podczaszyca dwókolna dryndulka,
 Która się po francusku zwała karjulka.
 Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
 A na kozłach niemiezysko chude nakształt deski;
 Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
 W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
 Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
 Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
 A chłopię żegnali się, mówiąc: że po świecie

Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karecie
 Sam Podczaszyc jaki był opisywać długo,
 Dosyc że się nam zdawał małpą lub papugą
 W wielkiej peruce, którą do złotego runa
 On lubił porównywać, a my do kołtuna.
 Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
 Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
 Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeskadza
 Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
 Taka była przesądów owocnych władza!

« Podczaszyc zapowiedział że nas reformować,
 Cywilizować będzie i konstytuować;
 Ogłosił nam, że jacyś francuzi wymowni
 Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.
 Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
 I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.
 Nauka dawną była, szło o jój pełnienie!
 Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
 Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
 Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiza;

Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,
 A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.
 Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,
 Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokraty;
 Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
 Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;
 Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
 Z Barona przechrzciłby się kiedyś Demokratą.
 Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
 A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

« Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież
 Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
 Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramarniach,
 Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.
 Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędki,
 Nie daje czasu szukać mody i gawędki.
 Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,
 Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;
 Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!
 Zawzdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.
 Tylko snutno, że nam ach! tak się lata wleka

W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!
 Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina —
 Ojcie Robaku (ciszej rzekł do Bernardyna)
 Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;
 Może też co o naszym wojsku wie Jegomość? »
 — « Nic a nic » odpowiedział Robak obojętnie,
 (Widać było że słucał rozmowy niechętnie)
 Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy
 Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy
 Bernardyńskie, cóż o tém gadać u wieczerzy;
 Są tu świeccy do których nic to nie należy. »

Tak mówiąc, spojrzął zyzem, gdzie wśród biesiadników
 Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków,
 Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,
 Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
 Rykow jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
 Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:
 « Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
 O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
 He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a popolsku umiem, —
 Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!

Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,
 Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem,
 Często na awanpostach nasz s francuzem gada,
 Pije wódkę; jak krzykną ura! — kanonada.
 Ruskie przysłówie: s kim się biję, tego lubię;
 Gładź družkę jak po duszy, a bij jak po szubie,
 Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
 Płuta Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
 Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,
 Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
 Bez Suwarowa to on może nas wytuzą.
 U nas w pułku gadano, jak szli na francuza,
 Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów
 Czarował; tak i były czary przeciw czarów.
 Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta, —
 A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,
 Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
 Dalej drząc pazurami, a Suwarów w kuca.
 Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą —
 Tu Ryków przerwał i jadł; wtém s potrawą czwartą
 Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda;
 Jój zjawienie się nagłe, jój wzrost i uroda,
 Jój ubior, zwrócił oczy, wszyscy ją witali,
 Prócz Tadeusza widać że ją wszyscy znali.
 Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
 Suknię materjalną różową jedwabną,
 Gors wycięty, kołnierzyk s koronek; rękawki
 Krótkie, w rękę kręciła wachlarz dla zabawki
 (Bo nie było gorąca), wachlarz pozłocisty
 Powiewając rozlewał deszcz iskier rześisty.
 Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
 W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,
 Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
 Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,
 Słowem ubior galowy; szeptali nie jedni,
 Że zhyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
 Nożek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
 Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczęj
 Jako osobki, które na trzykrólskie święta
 Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
 Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,
 Chciała usieść na miejscu sobie zostawioném.

Trudno było; bo krzesła dla gości nie stało,
 Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,
 Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeskoczyć;
 Zręcznie między dwie ławy umiała się włożyć,
 A potem między rzędem siedzących i stołem,
 Jak bilardowa kula toczyła się kołem,
 W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;
 Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana
 Pośliznęła się nieco, i w tém roztargnieniu
 Na pana Tadeusza wsparła się ramieniem.
 Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła
 Pomiedzy nim i stryjem, ale nic nie jadła;
 Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
 Kręciła, to kofnierzyk z brabantkich koronek
 Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki
 Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
 Tymczasem, w końcu stoła naprzdóccie szmery,
 A potem się zaczęły wpółgłośne rozmowy;
 Mężczyźni rozsądzałi swe dzisiejsze łowy.
 Assessora z Rejentem wzmogła się uparta,

Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,
 Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
 I utrzymywał, że on zajaca pochwycił;
 Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
 Że ta chwała należy chartu Sokołowi.
 Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła
 Brali stronę Kusego albo też Sokoła,
 Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
 Sędzia na drugim końcu do nowój sąsiadki
 Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,
 Niepodobna wieczery na później odkładać,
 Goście głodni, chodzili daleko na pole,
 Myśliłem że dziś z nami nie będziesz przy stole.
 To rzekłszy, s Podkomorzym przy pełnym kielichu
 O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
 Tadeusz przyglądał się nieznanęj osobie;
 Przypomniał że za pierwszym na miejsce wejściem
 Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.
 Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;
 Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!

Więc było przeznaczono, by przy jego boku
 Usiadła owa piękność widziana w pomroku;
 Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,
 Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza.
 I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,
 A u tej krucze długie zwijały się sploty?
 Kolor musiał pochodzić od słońca promieni
 Którymi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
 Tworzy w ów czas niedostrzegł, nazbyt rychło znikła,
 Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła;
 Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,
 Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;
 U tej znalazł podobne oczy, usta, lica;
 W wieku możeby była największa różnica:
 Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
 A Pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;
 Lecz młodzież o piękności metrykę niepyta,
 Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta,
 Chłopcowi każda piękność zda się rowiennicą,
 A niewinnemu każda kochanka dziewczicą.

Tadeusz chociaż liczył lat blisko dwadzieście,

I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście;
 Miał za dozorcę księdza który go pilnował
 I w dawniej surowości prawidłał wychował.
 Tadeusz zatem przywiozł w strony swe rodzinne
 Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
 Ale razem nie małą chętkę do swywoli.
 Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
 Używać na wsi, długo wzbronionej swobody;
 Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody;
 A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
 Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie
 Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,
 Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził,
 Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
 Tępy niebył, lecz mało w naukach postąpił,
 Choć stryj na wychowanie niczego nieskąpił.
 On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić;
 Wiedział że go myślano do wojska sposobić,
 Że Ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
 Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.

Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
 Kazał aby przyjechał i aby się żenił,
 I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
 Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
 Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.
 Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
 Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
 I w twarz spójrzała, s której wytryskał rumieniec,
 Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieniec:
 Bo s pierwszej lekkości całkiem już ochłonał,
 I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonął,
 Również patrzyła ona, i cztery źrenice
 Gorzały przeciw sobie jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;
 Wracał z miasta, ze szkoły; więc o książki nowe,
 O autorów pytała Tadeusza zdania,
 I ze zdań wyciągała na nowo pytania;
 Cóż gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,
 O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie!

Dowiodła że zna równie pędzel, noty, druki;
 Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,
 Lękał się, by niezostał pośmiewiska celem,
 I jękał się jak żaczek przed nauczycielem.
 Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi:
 Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
 Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przedmiotach,
 O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
 I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
 By życie przyjemnie i wieś rozweselić.
 Tadeusz odpowiadał śmiało, szła rzecz dalej,
 W półgodziny już byli s sobą poufali;
 Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
 W końcu, stawiła przed nim trzy s chleba gałeczki,
 Trzy osoby na wybor; wziął najbliższą sobie;
 Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,
 Sąsiadka zaśmiała się, lecz niepowiedziała
 Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła,
 Bo tam wzmogłszy się nagle stronnicy Sokoła,
 Na partyę Kusego bez litości wsiedli:

Spór był wielki, już potraw ostatnich niejedli,
 Stojąc i pijąc obie klóciły się strony,
 A najstraszniej Pan Rejent był zaciętrzewiony,
 Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował
 I gestami ją bardzo dobitnie malował.
 (Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,
 Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)
 Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,
 S pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
 Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,
 Właśnie rzecz kończył. « Wyczha, puściliśmy razem
 Ja i Assessor, razem, jakoby dwa kórki
 Jednym palcem spuszczone u jednej dwórki;
 Wyczha, poszli, a zając jak stróna, smyk w pole,
 Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole
 I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
 Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;
 Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,
 Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec,
 Wiedziałem że spudłuje; szarak gracz nielada,
 Czechał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
 Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie;

Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
 A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
 Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy
 Cap!!» Tak krzyżąc Pan Rejent na stół pochyłony,
 S palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,
 I « Cap! » Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;
 Tadeusz i sąsiadka tym głosu wybuchem
 Znięcka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
 Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy:
 Jako wierchołki drzewa powiązane społem
 Gdy je wichur zerwie; i ręce pod stołem
 Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,
 I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz by nie zdradzić swego rostargnienia,
 Prawda rzekł mój Rejencie, prawda, bez wątpienia
 Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny...
 Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny
 Żeby nie miał być chwytny? Więc Tadeusz znowu
 Cieszył się, że tak piękny pies niema narowu,
 Żałował że go tylko widział idąc z lasu,
 I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrzał Assessor, puścił z rąk kieliszek,
 Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliiszek.
 Assessor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy
 Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,
 Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
 Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.
 Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
 Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
 Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniej człek dostatni,
 Schedę ojca swojego i majątek bratni,
 Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;
 Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.
 Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,
 Już to że odgłos trąbki i widok obławy,
 Przypominał mu jego lata młodociane,
 Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
 Teraz mu s całej psiarni dwa charty zostały,
 I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.
 Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty,
 Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
 «Chart bez ogona jest jak szlacheć bez urzędu,
 Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,

A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
 Z resztą zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.
 Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
 I bawi się niedawno w naszej okolicy,
 Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:
 Tak to nauka sama z latami przychodzi.»

Tadeusz na którego niespodzianie spadał
 Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nic niegadał,
 Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej...
 W tém wielkiém szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,
 «Wiwat» krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,
 I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił:
 Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,
 A wśródku jęj był portret króla Stanisława.
 Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,
 Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował,
 Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;
 Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.
 On rzekł: «Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,
 Forum myśliwskim tylko są łaki i knieje,
 Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,

I posiedzenie nasze na jutro solwuję.
 I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;
 Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole,
 Jutro i Hrabia s całem myśliwstwem tu zjedzie,
 I Waszeć z nami ruszysz Sędzio mój sąsiedzie,
 I Pani Telimepa i Panny i Panie,
 Słowem zrobim na urząd wielkie polowanie;
 I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi. »
 To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,
 Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,
 Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
 Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.
 On milczał, szczyptę wziętą s tabakiery ważył
 W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,
 Kichnął aż cała izba rozległa się echem,
 I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem:
 « O jak mnie to starego i smuci i dziwi!
 Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi?
 Widząc że w tyłu szlachty, w tyłu panów gronie,
 Mają sądzić się spory o charcem ogonie;

Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
 Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
 Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
 Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
 I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
 I ma sto wozów sieci w zamku Woroczańskim,
 A od tyłu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
 Nikt go na polowanie uprosić nie może,
 Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
 Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
 Piękna byłaby sława! ażeby pan taki
 Wedle dzisiejszej mody jeździł na szaraki.
 Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,
 Dzik, niedźwiedź, łos, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,
 A zwierze niemające kłów, rogów, pazurów,
 Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;
 Żaden pan nigdy przyjąc nie chciałby do ręki
 Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śrót cienki!
 Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
 Trafia się że s pod konia mknie się biedak zając,
 Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
 I na konikach małe goniły panicze.

Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
 Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
 Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
 Odwołać swe roskazy, i niech mi wybaczy
 Że nie mogę na takie jechać polowanie,
 I nigdy na niém noga moja nie postanie!
 Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
 Żaden za zajęciami nie jeździł Hreczecha.

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,
 Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
 Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
 Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
 Tadeusz Telimienie, Assessor Krajezance,
 A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.

Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,
 A czuł się pomiészany, zły i niewesoły,
 Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,
 Spotkanie się, wieszczę przy boku sąsiadki,

A szczególniej mu słowo « Ciocia », koło ucha
 Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha,
 Pragnąłby u Wóźnego lepiej się wypytać
 O Pani Telimienie, lecz go niemógł schwytać;
 Wojskiego też niewidział, bo zaraz z wieszczę
 Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
 Urządzając we dworze izby do spoczynku.

Starsi i damy spały we dworskim budynku,
 Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano
 W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W półgodziny tak było głucho w całym dworze
 Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
 Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
 Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,
 Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
 W pole, i w domu przysłał urzęda zabawę.
 Dał roskaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
 Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
 I musiał wszystkieienne rachunki przezierać,
 Nareszcie rzekł Wóźnemu, że się chce rozbierać.
 Wóźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,

Przy którym świecą gęste kutasy jak kity,
 Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
 Na wywrót jedwab czarny posrebrzany w kraty;
 Pas taki można równie kłaść na strony obie,
 Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
 Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
 Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:

« Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,
 Nikt na tém nic niestracił, a Pan może zyska,
 Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
 My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,
 I mimo całą strony przeciwnę zajadłość,
 Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
 Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
 Dowodzi że posiadłość tam ma albo bierze,
 Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
 Pamiętam za mych czasów podobne wypadki. »

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
 Siadł przy świecy i dobył książeczkę s kieszeni,
 Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,

Któręj nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
 Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
 Stały spisane sprawy, które przed urzędem
 Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
 Albo o których później dowiedzieć się zdołał.
 Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
 Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
 Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
 Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,
 Radziwił z Wereszczaką, Giedrojc z Rodułowiskim,
 Obuchowicz s kahałem, Juraba s Piotrowskim,
 Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia
 S Soplcią: i czytając, s tych imion wywabia
 Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
 I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
 I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym
 W granatowym kuntuszu stał przed trybunałem,
 Jedną ręką na szabli, a drugą do stoła
 Przywoławszy dwie strony, « Uciszcie się! » woła.
 Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
 Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata
 Śród cichęj wsi litewskiej; kiedy reszta świata
 We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny
 Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
 Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
 Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
 Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
 W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor
 Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,
 Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu
 Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
 Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
 Które broniły Litwę murami żelaza
 Przed wieścią dla Rossyj straszłą jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba
 Spadała w Litwę; nieraz dziad zebrzący chleba,
 Bez ręki lub nogi, przyjąwszy jałmużnę,
 Staął i oczy w koło obracał ostróżne.
 Gdy niewidział wę dworze rossyjskich żołnierzy,
 Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
 Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,

Przynosił kości stare na ziemię ojczyzną,
 Której już bronić nienógł — jak go wtenczas cała
 Rodzina pańska, jak go czeladka ściskała
 Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,
 I dziwniejsze od baśni historye gadał.
 On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski
 Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,
 Jak on rodaków zbiera na Lombardziem polu;
 Jak Kniaziewicz rozkazy daje s Kapitolu,
 I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
 Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
 Jak Jabłonowski zabięł aż kędy pieprz roślinie,
 Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznej wiosnie
 Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju
 Tam wódz murzyny gromi, a wdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;
 Chłopiec co je posłyszał, zniknął nagle z domu,
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
 Scigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
 I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,
 Gdzie usłyszał głos miły « Witaj nam kollego! »

Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia
 I Moskałom przez Niemen rzekł : « do zobaczenia » .
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
 Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
 Mirzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
 Kupść, Gedymin i inni których nie policzę ;
 Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
 I dobra, które na skarb Carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
 Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,
 Gazetę im pokazał wyprutą s szkaplerza ;
 Tam stała wypisana i liezba żołnierza,
 I nazwisko każdego wodza legionu,
 I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
 Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina
 Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna ;
 Brał dom żałobę, ale powiedzieć nie śmiano
 Po kim była żałoba, tylko zgadywano
 W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
 Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno :
 Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,
 Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
 Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
 Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze
 Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.
 Miał on nad prawém uchem, nieco wyżej skroni,
 Bliznę, wyciętej skóry na szerokość dłoni,
 I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału ;
 Ran tych niedostał pewnie przy czytaniu mszału.
 Ale nie tylko groźne wejście i blizny,
 Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
 Od ołtarza do ludu, by mówić : « Pan z wami »,
 To nie raz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
 Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,
 I słowa liturgji takim wyrzekł tonem
 Do ludu, jak officer stojąc przed szwadronem :
 Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy.
 Spraw także politycznych był Robak świadomszy,
 Niżli żywotów świętych, a jeżdżąc po kweście,

Często zastanawiał się w powiatowém mieście ;
 Miał pełno interessów : to listy odbierał
 Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
 To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
 Nie powiadał ; częstokroć wymykał się nocą
 Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,
 I okoliczne wioski do koła wydeptał,
 I w karczmach z wieśniakami rosprawał nie mało,
 A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.
 Teraz Sędziego który już spał od godziny
 Przychodzi budzić ; pewnie ma jakieś nowiny.



KSIĘGA DRUGA.

ZAMK.

TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonego — Gość w Zamku — Ostatni z dworzan opowiada historją ostatniego z Horeszków — Rzut oka w sad — Dziewczyna w ogórkach — Śniadanie — Pani Telimena — Anegdota petersburska — Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła — Interwencja Robaka — Rzecz Wojkiewicza — Zakład — Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pachole,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nieutrudza,
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku

Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
Dla mieszczan, mnóstwem głosów szeptu mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
Również głęboko w niebie schowany skowronek;
Ówdzie orzeł szerokiem skrzydłem przez obszary
Zaszumiął, strasząc wróble, jak kometa cary;
Zaś jastrząb pod jasnymi wiszący błękitny,
Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,
Aż ujrawszy wśród łąki ptaka lub zajaca,
Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,
I służyć w jeździe która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków
I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
I po ciemnozielonem świeżem wonnym sianie,
S którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
Rospływały się złote, migające pręgi
Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;
I słońce usta sennych promykiem poranka
Drażni, jak dziewcze kłosem budzące kochanka.
Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą,
Już trzykroć gęgął gęsior, a za nim iak echo,
Odezwały się chorem kaczki i indyki,
I słychać bywała w pole idącego ryki.

Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,
Bo też najpóźniej zasnął; s wczorajszej wieczery
Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
Jeszcze oczu niezmrużył, a na swem posłaniu
Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,
I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym paskiem
« Surge puer » wołając i ponad barkami

Rubasznie wywijając pasek z ogórkami,
 Już na dziedzińcu słyhać myśliwskie okrzyki,
 Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
 Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,
 Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
 Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
 Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
 Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
 Potem biegną i kładą szyje na obroże:
 Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
 Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.

Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
 Ale za bramą rzędem rozbiegli się długi;
 W środku jechali obok Assessor z Rejentem,
 A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
 Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru
 Idąc na rostrzygnięcie śmiertelnego sporu;
 Nikt ze słów zawziętości ich poznać niezdolał;
 Pan Rejent wiodł Kusego, Assessor Sokoła,
 S tytu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami

Czwałując tuż przy kofach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem
 Kończąc ranne pacierze; ale rzucił okiem
 Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,
 Wreszcie kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;
 Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
 Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby
 Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczył,
 Bernardyn odpowiedzieć, ni spojrzeć nieraczył,
 Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;
 Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali
 I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;
 Jeden drugiemu ręką dawał znak milezienia,
 A wszyscy obrócili oczy do kamienia
 Nad którym stał Pan Sędzia, on zwierza obaczył
 I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.
 Pojeli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
 Assessor i Pan Rejent kłusują powoli;
 Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,

Stał obok Sędziego i oczyma śledził.
 Dawno już nie był w polu ; na szarej przestrzeni
 Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.
 Pokazał mu Pan Sędzia ; siedział biedny zając
 Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
 Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie,
 I jakby urzeczony, czując przeznaczenie
 Ze strachu od ich oczu niemógł zwrócić oka,
 I pod opoką siedział martwy jak opoka.
 Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżej,
 Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokół chyży,
 Tuż Assessor z Rejentem, razem wrzaśli s tyłu :
 « Wyczha, wyczha » i s psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
 Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem ;
 Wiedziano w okolicy, że ten Pan niemoże
 Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze,
 I dziś zasnął poranek, więc na sługi zrzędził,
 Widząc myśliwców w polu cwałem do nich pędził ;
 Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
 Połami na wiatr puścił ; s tyłu konno sługi

W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśnących, małych,
 W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych :
 Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
 Nazywają się w jego pałacu, dżokeje.

Czwałująca czereda zleciała na błońia,
 Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
 Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył
 Że to były też same mury, tak odświeżył
 I upięknił poranek zarysy budowy ;
 Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
 Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
 Nad mgłą ranną ; daeh z blachy złocił się od słońca,
 Pod nim błyszczała w kratach reszta szyb wybitych,
 Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych ;
 Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
 Rospadliny i szczyby zakryła od oka.
 Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany
 Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany :
 Przysięgłbyś że krzyk z zamku, że pod mgłą zasłony
 Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykłe i nowe,
 Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę
 Romansową, w istocie był wielkim dziwakiem.
 Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,
 Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
 Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokiej sosnie;
 Często bez psa, bez strzelby błąkał się pó gaju,
 Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
 Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,
 Jak czapla wszystkie ryby chcącą pozrzeć okiem.
 Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,
 Wszyscy mówili że mu czegoś nie dostaje.
 Szanowano go przecież, bo pan s prapradziadów,
 Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów;
 Nawet dla żydów.

Hrabski koń zwrócony z drogi,
 Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.
 Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
 Wyjął papier, ołówek i kreslił figury.
 W tém spójrzawszy w bok ujrział o dwadzieścia kroków
 Człowieka, który równie miłośnik widoków,

Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
 Zdawało się że liczył oczyma kamienie.
 Pozpał go zaraz, ale musiał kilka razy
 Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
 Szlacheic to był służący dawnych zamku panów,
 Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
 Starzec wysoki, siwy, twarz miał ezerstwą, zdrową,
 Marszczkami pooraną, posępna, surową.
 Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości sływał;
 Ale od bitwy w której dziedzic zamku zginął,
 Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu
 Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
 Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,
 I uśmiechu na jego twarzy niewidziano.
 Zawsze nosił Horeszków liberję dawną,
 Kurtę s połami żółtą, galonem oprawną,
 Który dziś żółty dawniej zapewne był złoty.
 W koło szyte jedwabiem herbowne klejnoty
 Półkozice, i stąd też cała okolica
 Półkozicem przezwała starego szlacheica.
 Czasem też od przysłówia, które bez ustanku
 Powtarzał, nazywano go także Mopanku,

Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał wszערbach;
 Lecz on zwał się Rębajło a o jego herbach
 Niewiadomo. Klucznikiem siebie tytutował,
 Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
 I dotąd nosił wielki pęk kluczków za pasem,
 Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.
 Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje
 Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,
 Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
 I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.
 W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;
 Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
 Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
 Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
 I krewnegośwych panów ukłonem zaszczycił
 Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
 I naciętą od licznych kordów jak nasięka;
 Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko
 Skłoniwszy się, rzekł smutnie: Mopanku, panisko,
 Daruj mnie że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,

To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszczepianie:
 « Mopanku » powiadali wszyscy Horeszkowie,
 Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie;
 Czyż to prawda Mopanku że pan grosza skąpisz
 Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz;
 Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słyhać.
 Tu poglądając w zamek nie przestawał wdychać.

Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki a nuda
 Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlachcic maruda
 Upiera się; przewidział że mię znudzić może:
 Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
 Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda.
 Zgody? krzyknął Gerwazy, s Soplicami zgoda,
 S Soplicami Mopanku? to mówiąc wykrzywił
 Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.
 Zgoda i Soplicowie! Mopanku Panisko
 Pan żartuje, co? Zamek Horeszków siedlisko
 Ma pójść w ręce Sopliców? niech pan tylko raczy
 Ssiąć s konia, pódźmy w zamek, niech no pan obaczy,
 Pan sam nie wie co robi, niech się pan nie wzbrania,
 Ssiadaj Pan — i przytrzymał strzemię do ssiadania.

Weszli w zamek ; Gerwazy stanął w progu sieni :
 Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,
 Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze.
 Pan godził spory włościan ; lub w dobrym humorze
 Gościom różne ciekawe historie prawił,
 Albo ich powieściami i żarty się bawił.
 A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
 Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.

Weszli w sien. — Rzekł Gerwazy, w tej ogromnej sieni
 Brukowanćj, nie znajdziesz Pan tyle kamieni,
 Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach ;
 Szlachta ciągnęła kufy s piwnicy na pasach,
 Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
 Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
 Podczas uczty na chorze tym kapela stała
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała ;
 A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym
 Grzmiały s choru ; wiwaty szły ciągiem porządnym —
 Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,
 Potém Prymasa, potém królowćj Jójmości,
 Potém Szlachty i całćj Rzeczypospolitej ;

A nakoniec po piątćj szklanicy wypitej,
 Wnoszono Kochajmy się, wiwat bez przestanku,
 Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku ;
 A już gotowe stały cugi i podwody,
 Aby każdego odwieść do jego gospody.

Przeszli już kilka komnat ; Gerwazy w milczeniu
 Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
 Przywołując pamiętkę tu smutną, tam miłą ;
 Czasem jakby chciał mówić « wszystko się skończyło »
 Kiwnął żałośnie głową ; czasem machnął ręką.
 Widać że mu wspomnienie samo było męką,
 I że je chciał odpędzić ; aż się zatrzymali
 Na górze, w wielkićj, niegdys zwierciadlanćj sali ;
 Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
 Okna bez szyb, s krążgankiem wprost naprzeciw bramy.
 Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił
 I twarz zakrył rękami, a gdy ją odsłonił,
 Miała wyraz żałości wielkićj i rozpaczy.
 Hrabia chociaź niewiedział co to wszystko znaczy,
 Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,
 Rękę mu seisnął ; chwilę trwało to milczenie,

Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą :
 « Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
 I krwią Horeszków ; w Panu krew Horeszków płynie,
 Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczynie,
 Która się rodzi z drugiej córki Kasztelana,
 Który był jak wiadomo, wujem mego Pana.
 Słuchaj Pan historyi swęj własnej rodzinnej,
 Która się stała właśnie w tej izbie, nie innej.

• Nieboszczyk Pan mój Stolnik, pierwszy Pan w powiecie,
 Bogacz i familiant, miał jedyne dziecko,
 Córkę piękną jak anioł ; więc się zalecało
 Stolnikównie i szlachty i paniąt niemało.
 Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
 Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda
 Przez żart ; w istocie wiele znaczył w województwie,
 Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
 I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,
 Choć sam nie nieposiadał prócz kawałka roli,
 Szabli, i wielkich wąsów od ucha do ucha.
 Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha
 I ugaszczwał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,

Popularny dla jego krewnych i stronników.
 Wąsał tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,
 Ze mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.
 Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,
 W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieżdził
 I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano,
 I czarną mu polówkę do stołu podano.
 Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,
 Ale przed rodzicami taifa głęboko.

« Było to za Kościuszki czasów ; Pan popierał
 Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,
 Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy,
 Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy :
 Ledwie był czas z moździerza na trwożę wypalić,
 Podwoje dolne zamknąć i rygłem zawalić.
 W zamku całym był tylko Pan Stolnik, ja, Pani,
 Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,
 Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali ;
 Więc za strzelby, do okien ; aż tu tłum Moskali
 Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie ;
 My im ze strzelb dziesięciu palnęli « a zasie »

Nie tam niebyło widać; sładzy bez ustanku
 Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.
 Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze:
 Dwadzieścia strzelb leżało tu na tej podłodze,
 Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,
 Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,
 J Pani i Panienka i nadworne Panny;
 Trzech było strzelców a szedł ogień nieustanny;
 Grad kul sypały z dołu moskiewkie piechury,
 My zrzadka, ale celniej dogrzewali z góry.
 Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
 Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,
 Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.
 Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek,
 I skoro s pod lamusa moskał łeb wychylił,
 On dawał zaraz ognia a nigdy nie mylił,
 Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
 I już się rzadko który z za ściany wykładał.
 Stolnik widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
 Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabele
 I z ganku krzycząc sługom wydawał roskazy;
 Obróciwszy się do mnie rzekł: za mną Gerwazy!

Wtém strzelono s pod bramy, Stolnik się zająknął,
 Zacerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął;
 Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,
 Pan słaniając się palcem ukazał na bramę.
 Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!
 Po wzrósie i po wąsach! jego to postrzałem
 Zginał Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry
 Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!
 Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!
 Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały
 Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył.
 Usłyszałem wrzask kobiet, spójrzałem,—pan nieżył.»

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,
 Potém rzekł kończąc: « Moskał już wrota wywalał;
 Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,
 I nie wiedziałem co się działo w około mnie;
 Szczęściem na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz.
 Przywiódłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,
 Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,
 A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
 Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,
 Ojciec włością, brat szlachty; i nie miał po sobie
 Syna, któryby zemstę poprzysiął na grobie!
 Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany
 Obmoczyłem mój rapier seczorykiem zwany,
 (Zapewne Pan o moim słyszał seczoryku,
 Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku)
 Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,
 Scigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;
 Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;
 Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
 Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze,
 Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę
 Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
 Który dotąd ode mnie pamiątki nie dostał!
 Rodzoniutki braciszek owego wąsala,
 Żyje dotąd, i s swoich bogactw się przechwala,
 Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,
 Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
 I Pan mu zamek oddasz? nicne jego nogi
 Mają krew Pana mego zetrzeć s tój podłogi?

O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,
 I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy
 Seczoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie!
 Póty Soplica tego zamku nie dostanie!»

« O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry!
 Dobrze miałem przecucie, żem lubił te mury!
 Choć nie wiedziałem że w nich taki skarb się mieści,
 Tyle scen dramatycznych, i tyle powieści!
 Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,
 Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię:
 Twoja powieść Gerwazy zajęła mię mocno.
 Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;
 Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,
 A tybyś mi o krwawych rozpowiadał czynach;
 Szkoda że masz nie wielki dar opowiadania!
 Nie raz takie słyszałem, i czytam podania;
 W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,
 W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów!
 W każdej dawniej, szlachetnej, potężnej rodzinie
 Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,
 Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:

W Polsce pierwszy raz słyście o takim wypadku.
 Czuję że we mnie męźnych krew Horeszków płynie!
 Wiem co winienem sławie i mojej rodzinie,
 Tak! muszę zerwać wszelkie s Soplicą układy,
 Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
 Honor każe » Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
 A Gerwazy szedł s tyłu w milezeniu głębokiém.
 Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
 Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,
 Tak samotną rozmowę kończąc rostargniony:
 » Szkoda że ten Soplica stary nie ma żony!
 Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki!
 Kochając i niemogąc otrzymać jej ręki;
 Nowabysię w powieści zrobiła zawiłość:
 Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość! »

Tak szepeąc spał ostrogi, koń leciał do dworu,
 Gdy zdrużej strony strzeley wyjeżdżali z boru;
 Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
 Zapomniawszy o wszystkiém prosto ku nim skoczył,
 Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie
 Obejrzał się, i konia zatrzymał przy płocie;

Był sad —

Drzewa owocne zasadzone w rzędy
 Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
 Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,
 Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
 Tam płącząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
 Wysmukły bob obraca na nią tysiąc oczu;
 Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
 Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
 Który od swęj łodygi aż w daleką stronę
 Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rosicte międzą; na każdym przykopie
 Stoją jakby na straży, w szeregach konopie,
 Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone,
 Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
 Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
 A ich woń gąsienice i owad zabija.
 Dalej maków białawe górują badyle,
 Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle
 Trzepiejąc skrzydełkami, na których się mieni

Z rozmaitością tęczy blask drogiech kamieni;
 Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenieć mami.
 W środku kwiatów jak pełnia pomiędzy gwiazdami
 Kragły słończnik, licem wielkim, gorejącem,
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
 Bez drzew, krzewów i kwiatów; ogród na ogórki.
 Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
 Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
 Pośrodku, szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
 W majowej zieloności tonąc po kolana;
 Z grząd zniżając się w brzoźdy, zdała się nie stapać,
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
 I kilka pukłów światłych, rozwitych warkoczy;
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,
 Prawą rękę podniosła, niby do chwytania;
 Jako dziewcze gdy rybki w kąpieli ugania
 Bawiące się z jej nożką, tak ona co chwila
 Z rękami i koszykiem po owoc się schyla

Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia zachwycony tak cudnym widokiem,
 Stał cicho. Słyszac tentent towarzyszków w dali,
 Ręką dał znak ażeby wstrzymać konie; stali.
 On patrzył z wyciągniętą szyją; jak dziobaty
 Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty
 Stojąc na jednej nodze, s czujnymi oczyma,
 I by niezasnąć kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;
 Był to bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni
 Podniesione do góry węzłowate sznurki:
 Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz ogórki.
 Wara Panie od szkody, na tutejszój grzędzie
 Nie dla Waszeci owoc, nie s tego nie będzie—
 Potém palcem pogroził, kaptura poprawił,
 I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,
 Śmiejąc się i klnąc razem tój nagłój przeszkodzie;
 Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie
 Niebyło jój; mignęła tylko śród okienka
 Jój różowa wstążeczka i biała sukienka.

Widać na grzędach jaką przeleciała drogą,
 Bo liść zielony, w biegu potracony nogą,
 Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,
 Jak woda którą ptaszek skrzydłami roskroił.
 A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony
 Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,
 Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,
 I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho ;
 Hrabia oczy w dom utkwiał i natężył ucho,
 Zawsze dumał, a strzelec zawsze nieruchomie
 Za nim stali. — Aż w cichym i samotnym domie
 Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,
 Jak w ulu pustym kiedy węć wlatują pszczoły :
 Był to znak że wracali goście s polowania,
 I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,
 Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki ;
 Mężczyzni tak jak weszli, w swych zielonych strojach,
 S talerzami, s szklankami, chodząc po pokojach,

Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
 Rosprawiali o flintach, chartach i szarakach ;
 Podkomorstwo i Sędzia przy stole ; a w kątku
 Panny szeptały s sobą ; niebyło porządku,
 Jaki się przy obiadach i wieczerzach chowa,
 Była to w staropolskim domie moda nowa ;
 Przy śniadaniach, Pan Sędzia choć nierad pozwalał
 Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy :
 Tu roznoszono tace s całą służbą kawy,
 Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
 Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
 I s porcelany saskiej złote filiżanki,
 Przy każdej garnuszeczek mały do śmietanki.
 Takię kawę jak w Polsce niema w żadnym kraju :
 W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
 Jest do robiena kawy osobna niewiasta,
 Nazywa się Kawiarka ; ta sprowadza z miasta,
 Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
 I zna tajne sposoby gotowania trunku,
 Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,

Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
 Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana,
 Na wsi nietrudno o nią : bo kawiarka z rana
 Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
 I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
 Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
 Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę,
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
 W którym twarog gruzłami posiekany piływa.

Zaś dla męszczyzn wędliny leżą do wyboru,
 Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym ;
 W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie :
 Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona :
 Starszyczna przy stoliku małym zgromadzona

Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
 O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich,
 Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
 Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.
 Panna Wojska włożywszy okulary sine,
 Zabawiała kabałą s kart Podkomorzynę.
 W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
 W spokojniejszych i cieńszych niż zwykle rozmowach :
 Bo Assessor i Rejent, oba mówcy wiecey,
 Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,
 Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni ;
 Oba dobrze puszczały, oba byli pewni
 Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośród równiny
 Znalazł się zagon chłopskiej, niezżętej jarzyny ;
 Tam wpadł zając : już Kusy, już go Sokoł miał,
 Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał ;
 Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie ;
 Psy powróciły same : i nikt pewnie niewie, —
 Czy źwierz uszedł, czy wzięty ; nikt zgadnąć niezdola,
 Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,
 Czyli obódwurazem : różnie sądzą strony,
 I spór na dalsze czasy trwał nierozstrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
 Po obu stronach oczy rostargnione wodził,
 Niemieszal się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
 I widać że czém inném zajętą miał głowę;
 Nosił skórzaną plackę: czasem w miejscu stanie,
 Duma długo, i —muchę zabije na ścianie.

Tadeusz s Telimeną pomiędzy izbami
 Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;
 Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,
 Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:
 Że ciocia Telimena jest bogata Pani,
 Że niesą kanonicznie s sobą powiązani
 Zbyt bliskiem pokrewieństwem; i nawet niepewno
 Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,
 Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice
 Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę;
 Że potem ona żyjąc w stolicy czas długi
 Wyrządziła nieźmierne Sędziemu usługi;
 Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem
 Lubił może s próżności, nazywać się bratem,
 Czego mu Telimena przez przyjaźń niewzbrania.

Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.
 Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;
 A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Assessora
 Rzekł Rejent mimojazdem: ja mówiłem wczora,
 Że polowanie nasze udać się niemoże:
 Jeszcze zbyt wczesnie, jeszcze na pniu stoi zhoże,
 I mnóstwo szuurów chłopskiej niezżętej jarzyny;
 Stąd i Hrabia nieprzybył mimo zaprosiny.
 Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,
 Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;
 Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,
 I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
 Polować tak jak u nas, bez żadnego względu
 Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;
 Nieszanując niczyich kopców ani miedzy
 Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy;
 Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,
 Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,
 Albo cierpieć iż kotną samiecą zajęcą
 Charty w runi uszczują, a raczej zamęcą,

Z wielką szkodą zwierzyni. Stąd się Hrabia żali,
 Że cywilizacja większa u Moskali;
 Bo tam o polowaniu są ukazy Cara
 I dozor policyi i na winnych kara.

Telimena ku lewój izbie obrócona,
 Wachlując batystową chusteczką ramiona,
 « Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się niemyli,
 Znam ja dobrze Rossyą. Państwo niewierzili
 Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów
 Godna pochwały czujność i srogość urzędów.
 Byłam ja w Petersburgu, nie raz, nie dwa razy!
 Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
 Co za miasto! Nikt s Panów niebył w Petersburku?
 Chcecie może plan widzieć, mam plan miasta, w biurku.
 Latem świat Petersburski zwykł mieszkać na daczach,
 To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy);
 Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,
 Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
 Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:
 Ach co to był za domek! plan mam dotąd w biurku.
 Otoż na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie

Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie;
 Trzymał kilkoro chartów; co to za męczarnie!
 Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie.
 Ilekroć s książką wyszłam sobie do ogrodu,
 Użyć księżycy blasku, wieczornego chłodu;
 Zaraz i pies przyleciał, i kręcił ogonem,
 I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym.
 Nieraz się należałam. Serce mi wróżyło
 S tych psów jakieś nieszczęście: tak się też zdarzyło.
 Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,
 Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka
 Bonończyka! Ach była to rokoszna psina,
 Miałam ją w podarunku od księcia Sukina
 Na pamiątkę; rozumna, żywa jak wiewiórka,
 Mam jęj portrecik, tylko niecheć iść do biurka.
 Widząc ją zadławioną, z wielkiej alteracyi
 Dostałam mdłości, spazmów, serca palpitacyi.
 Możeby gorzej jeszcze z mojem zdrowiem było;
 Szcześnie nadjechał właśnie z wizytą Kiryło
 Gawrylicz Kozodusin, Wielki Łowczy Dworu,
 Pyta się o przyczynę tak złego humoru.
 Każę wnet urzędnika przyciągnąć za uszy;

Staje pobladły, drżący i prawie bez duszy.
 Jak śmiesz, krzyknął Kiryło piorunowym głosem,
 Sześć wiosną łanię kotną tuż pod Carskim nosem?
 Osłupiały czynownik, darmo się zaklinał,
 Że polowania dotąd jeszcze niezacynał,
 Że z Wielkiego Łowczego wielkiem pozwoleniem,
 Zwierz uszczuty zda mu się być psem nie jeleniem.
 Jakto? krzyknął Kiryłło, to śmiałyś hultaju
 Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju,
 Niżli ja Kozodusin, Carski Jegermajster?
 Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster.
 Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo :
 Ja rzecze Kozodusin wydaję świadectwo,
 Że to łani; on plecie że to pies domowy:
 Rozsądź nas kto zna lepiej zwierzynę i łowy.
 Policmajster powinność służby swęj rozumiał,
 Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,
 I odwiódłszy na stronę po bratersku radził,
 By przyznał się do winy i tęp grzech swój zgładził.
 Łowczy udobruchany, przyrzekł że się wstawi
 Do Cesarza, i wyrok nieco ułaskawi;
 Skończyło się że charty poszły na powrozy,

A czynownik na cztery tygodnie do kozy.
 Zabawiła nas cały wieczor ta pustota,
 Zrobiła się nazajutrz s tego anegdota,
 Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się;
 I nawet wiem s pewnością, że sam Cesarz śmiał się.

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem
 Grał w maryasza, i właśnie z wyświeconém winem
 Miał coś ważnego zadać; już ksiądz ledwo dyszał,
 Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał;
 I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,
 I s kartą podniesioną, do bicia gotową,
 Siedział cicho i tylko bernardyna trwożył,
 Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,
 I rzekł śmiejąc się : niech tam sobie kto chce chwali
 Niemców cywilizacją, porządek Moskali;
 Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
 Prawować się o lisa, i przyzywać drabów
 By wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;
 Na Litwie chwała Bogu stare obyczaje :
 Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
 I niebędziemy nigdy o to robić śledztwa;

I zboża mamy dosyć, psy nas nieogłodzą,
 Że po jarzynach albo po życie pochodzą;
 Na morgach chłopskich brońię robić polowanie.

Ekonom z lewój izby rzekł: niedziw Mospanie,
 Bo też Pau tak drogo płaci za taką zwierzyńę.
 Chłopy i radzi temu; kiedy w ich jarzyńę
 Wskoczy chart, niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta,
 To Pan mu kopę oddasz i jeszcze nie kwita,
 Często chłopi talara w przydatku dostali;
 Wierz mi Pan że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,
 Jeśli — Resztę dowodów Pana Ekonoma
 Niemógł usłyszyc Sędzia, bo pomiędzy dwoma
 Rosprawami, wszczęło się dziesięć rozgovorów,
 Anegdota, opowiadań, i nakoniec sporów.

Tadeusz s Telimeną całkiem zapomnieni,
 Pamiętali o sobie: — Rada była Pani,
 Że jęj dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;
 Młodzińec jęj nawzajem komplementy prawil,
 Telimena mówiła coraz wolńiej, ciszej,

I Tadeusz udawał że jęj niedosłyszyc
 W tłumie rozmów: więc szepcąc tak zbliżył się do niej,
 Że uczuł twarzą lubą gorącość jęj skroni,
 Wstrzymując oddech, usty chwycił jęj westchnienie
 I okiem łowił wszystkie jęj wzroku promienie.

W tém pomiędzy ich usta, mignęła znięnačka
 Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi
 Gatunek much osobny, zwanych szlacheckimi;
 Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,
 Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gminnych,
 Latając bardzo huczają i nieznośnie brzęczą,
 A tak silne, że tkankę przebijają pajęczą,
 Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,
 Bo s pająkiem sam na sam może się borykać.
 Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził
 Że się s tych much szlacheckich, pomńiejszy lud rodził,
 Że one tém są muchom, czém dla roju matki,
 Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.
 Prawda że Ochmistrzyńi, ani Pleban wioski,

Nieuwierzili nigdy w te Wojskiego wnioski
 I trzymali inaczej o muszym rodzaju;
 Lecz Wojski nieodstąpił dawnego zwyczaju,
 Ledwo dostrzegł takąą muchę, wnet ją gonił.
 Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił,
 Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się że chybił,
 Trzeci raz machnął, tylko co okna niewybił;
 Aż mucha odurzona od tyła łoskotu,
 Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,
 Rzuciła się z rozpaczą pomiędzy ich lica;
 I tam za nią mignęła Wojskiego prawica:
 Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,
 Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy;
 Uderzyły się mocno oboje w uszaki,
 Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szczęściem nikt nieuważał, bo dotychczasowa
 Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa,
 Zakłóciła się nagłym wybuchem hałasu: —
 Jak strzeleły gdy na lisa zaciągną do lasu,
 Słychać gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni granie,
 A wtém dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,

Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,
 Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy;
 Tak dzieje się z rozmową: zwolna się pomyka,
 Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.
 Dzikim rozmów strzeleckich, był ów spór zażarty
 Rejenta z Assessorem o sławne ich charty.
 Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;
 Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
 Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,
 Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali,
 I tocząc się przeze drzwi nakształt bystrzej fali,
 Unieśli młodą parę stojącą na progu,
 Podobną Janusowi, dwólicemu bogu.

Tadeusz s Telimeną nim na skroniach włosy
 Poprawili, już groźne ucichły odgłosy,
 Szmer zmieszany ze śmiechem wśród ciżby się szerzył,
 Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją usmierzył:
 Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.
 Właśnie kiedy Assessor podbiegł do Jurysty,

Gdy już sobie gestami grozili szermierze,
 On raptem porwał obu s tyłu za kołnierze,
 I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne
 Jedną o drugą jako jaja wielkonocne,
 Roskrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
 I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;
 Chwilę z rościagnionemi stał w miejscu rękami,
 I Pax, pax, pax vobiscum krzyczał, pokój z wami!

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie :
 Przez szacunek należny duchownej osobie,
 Nieśmiano śmiać mnicha ; a po takiej probie
 Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę,
 Zaś kwestarz Robak skoro uciszył gromadę,
 Widać było że wcale triumfu nie szukał,
 Ani groził kłótnikom więcęć, ani fukał;
 Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem
 Zatknąwszy, wyszedł cicho s pokoju.

Tym czasem

Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony
 Plac zajęli. Pan Wojski jakby przebudzony

Z głębokiego dumania, na środek wystąpił,
 Obiegał zgromadzenie ognistą żrenicą,
 I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,
 Tam uciszając machał swą placką ze skóry ;
 Wreszcie podniosłszy trzonek s powagą do góry,
 Jak łaskę marszałkowską, nakazał milczenie.

Uciszcze się! powtarzał, miejcie też baczenie,
 Wy co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,
 Z gorszącej kłótni waszój co będzie? czy wiecie?
 Oto młodzież na której Ojczyzny nadzieje,
 Która ma wsławiać nasze ostępy i knieje,
 Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,
 Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!
 Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,
 Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.
 Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;
 Bo znałem większych dawniej niżli wy myśliwych,
 A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.
 Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?
 Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się ze zwierzem,
 Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?

Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,
 Co kulą s pistoletu w biegu trafiał kota?
 Terajewicza znałem, co idąc na dziki
 Niebrał nigdy innego oręża prócz piki!
 Budrewicza co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
 Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!
 Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?
 Oto obrali sędziów, i zakład stawili.
 Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,
 Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!
 I wy Panowie pójdźcie za starych przykładem,
 I rostrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.
 Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca,
 Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zajaca;
 Więc polubownych sędziów najpierwej obierzcie,
 A co wyrzekną, temu sumiennie zawiercie.
 Ja uproszę Sędziego, ażeby niebronił
 Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił;
 I tuszę że tę łaskę otrzymam od Pana:
 To wyrzekłszy, Sędzięgo ścisnął za kolana.
 « Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem,

I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,
 Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę.»
 — « Ja, rzekł Assessor, stawię me złote obroże,
 Jaszczurem wykładane s kółkami ze złota,
 I smycz tkany jedwabny, którego robota
 Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.
 Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,
 Jeślibym się ożenił: ten sprzęt mnie darował
 Książę Dominik, kiedym z nim razem polował
 I z marszałkiem Sanguszką księciem, z generałem
 Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwałem.
 Tam bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,
 Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.
 Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiem błoniu;
 Książę Radziwiłł niemógł dosiedzieć na koniu;
 Ssiadł, i objąwszy sławną mą chareicę kanię,
 Trzykroć jej w samą głowę dał pocałowanie,
 A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
 Rzekł, mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku: —
 Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa,
 Od miejsce na których wielkie odnieśli zwycięstwa.

Telimena znudzona zbyt długiemi swary,
 Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary,
 Wzięła koszyczek s kołka : « Panowie jak widzę,
 Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze ;
 Kto łaska, proszę za mną » : rzekła — koło głowy
 Obwijając czerwony szal kaszemirowy ;
 Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
 A drugą podchyliła do kostek sukienkę ;
 Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,
 Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
 A więc krzyknął : Panowie, po grzyby do boru !
 Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,
 Ten obok najpiękniejszej Paniénki usiedzie ;
 Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,
 Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.



KSIĘGA TRZECIA.

WIZGI.

TREŚĆ.

Wyprawa Hrabi na sad—Tajemnicza nimfa gęsi pasie—Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizejskich—Gatunki grzybów—Telimena w świątyni dumania—Narady dotyczące się postanowienia Tadeusza — Hrabia pejzażysta — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami — Hrabiego myśli o sztuce—Dzwon—Bilecik—Niedźwiedz Mospanie!

Hrabia wracał do siebie lecz konia wstrzymywał,
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,
Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:

Jako promień słoneczny wykradłszy się s chmurki,
Kiedy wśród roli padnie na krzemienia skibę,
Lub wśród zielonej łąki w drobną wody szybę.

Hrabia ssiadł s konia, sługi odprawił do domu,
A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu;
Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,
I wcisnął się pocichu, jak wilk do obory;
Nieszczęściem trącił krzaki suchego agrestu.
Ogrodniczka jak gdyby zlekła się szelestu,
Oglądała się wkoło, lecz nie niespostrzegła;
Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.
A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,
Skacząc jak żaba, eicho, przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę, i ujrzął cudne widowisko.

W tej części sadu, rosły tu i ówdzie wiśnie,
Śród nich zboże, w gatunkach zmieszanych umyślnie:
Pszemica, kukuruza, bob, jęczmień wąsaty,
Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.
Domowemu to plastwu, taki ochmistrzini

Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,
Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-
czówna; jój wynalazek epokę stanowi
W domowém gospodarstwie; dziś powszechnie znany,
Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,
Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: *Sposób
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu* — był to ów ogródek.

Jakoż zaledwie kogut co odprawia warty
Stanie, i nieruchomie dzierząc dziob zadarty,
I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
Aby tém łacniej w niebo mógł celować okiem,
Dostrzeże wiszącego jastrzębia wśród chmury;
Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,
Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestraszu
Gołębie gdy niemogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego niewidziano wroga,
Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,
Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku;

Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.
 Śród ptaszycich głów sterczały główki ludzkie małe,
 Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;
 Szyje nagie do ramion, a pomiędzy niemi
 Dziewczyna głową wyższą, z włosami dłuższemi;
 Tuż za dziećmi paw' siedział, i piór swych obręcze
 Szeroko rozprzestrzenił w różnofarbną tęczę,
 Na której główki białe jak na tle obrasku,
 Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
 Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu
 Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak wprzezroczu
 Pomiędzy kukuruzy złocistemi łaski,
 I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
 I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
 Których kształty i barwy mieszały się razem,
 Niby krata ze srebra i złota pleciona
 A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.
 Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów
 Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,
 Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka

Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
 Gdy w powietrzu zawisną zaledwo widome,
 I chociaż brzęczą, myślisz że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę
 Szarą kitką, podobną do piór strusich pędu,
 Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
 Od złotego motylów deszczu — w drugiej ręce
 Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
 Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:
 Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,
 Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
 Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
 Niewiedząc, że napastnik już s przeciwnej strony
 Zbliżył się czołgając jak wąż przez zagony;
 Aż wyskoczył z łopucha, spótyrzała, — stał blisko,
 O cztery grzędy od niej i kłaniał się nisko.
 Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
 I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,
 I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem,

Kiedy dzieci przelekłe podróżnego wniściem
 I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;
 Posłyszała, uczuła że jest nierostropnie
 Działwę małą, przelekłą i samą porzucić:
 Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
 Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zakłębem;
 Przybiegła z najkrzykliwszém bawić się dziecięcim,
 Siadła przy niém na ziemi, wzięła je na łono,
 Drugie głaskała ręką i mową pieśczoną;
 Aż się uspokoiły, objawszy w rączęta
 Jój kolana i tuląc główki jak pisklęta
 Pod skrzydło matki. Ona rzekła: czy to pięknie
 Tak krzyżeć? czy to grzecznie? ten Pan was się złąknie,
 Ten Pan nieprzyszedł straszyć, to nie dziad szkaradny,
 To gość, dobry Pan, patrzcie tylko jaki ładny.
 Sama spójrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
 I widocznie był wdzięczzen jój za pochwał tyle;
 Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
 I jako róży pączek cała się spłoniła.

W istocie był to piękny Pan: słusznój urody,

Twarz miał pociągłą, blade lecz świeże jagody,
 Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
 Na włosach, listki ziela i kosmyki trawy,
 Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,
 Zieleniły się jako wieniec rospleciony.

„O ty, rzekł, jakimkolwiek uczęzę cię imieniem,
 Bóstwem jesteś czy Nimgą, duchem czy widzeniem!
 Mów! własnali cię wola na ziemię sprowadza,
 Obcali więzi ciebie na padole władza?
 Ach domyślam się — pewnie wzgardzony miłośnik
 Jaki Pan możny, albo opiekun zazdrośnik,
 W tym cię parku zamkowym jak zakłątą strzeże!
 Godna by o cię bronią walczyli rycerze,
 Byś została romansów heroiną smutnych!
 Odkryj mi Piękna tajnie twych losów okrutnych!
 Znajdziesz wybawiciela — odtąd twém skinieniem,
 Jak rządysz sercem mojem, tak rządz mem ramieniem.”
 Wyciągnął ramie—

Ona z rumieńcem dziewiczym

Ale z rozweseloném słuchoła obliczém:

Jak dziecie lubi widzieć obraski jaskrawe
 I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
 Nim rozezna ich wartość, tak się słucho jej pieśni.
 Z dźwięcznymi słowy, których niepojęła treści.
 Nakoniec zapytała: skąd tu Pan przychodzi?
 I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziej?

Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,
 Milezał; wreszcie zniżając swój rozmowy tony,
 Przepraszam, rzekł, Panienu! widzę że pomieszzał
 Zabawy! ach przepraszam, jam właśnie pośpieszał
 Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć,
 Panienu wie że drogą trzeba w koło krążyć,
 Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościć.
 Dziewczyna rzekła: tedy droga Jegomości;
 Tylko grząd psuć niereba; tam między murawą
 Scieszka — W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?
 Ogrodniczka podniosłszy błękitne oczęta,
 Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
 Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
 A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej
 Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu

Rozmowy — Panna mieszka tu? blisko ogrodu?
 Czy na wsi? jakto było, żem Panny we dworze
 Niewidział? czy niedawno tu? przyjezdna może?
 Dziewcze wstrząsnęło głową; — Przepraszam Panienu,
 Czy nie tam pokoj Panny, gdzie owe okienko?

Myślił zaś w duchu, jeśli niejest Heroiną
 Romansów, jest młodziuchną, przesliczną dziewczyną.
 Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta
 W samotności, jak róża wśród lasów roskwita;
 Dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem,
 Aby widzów zdziwiła jasných barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milezeniu,
 Podniosła jedno dziecie zwiśte na ramieniu,
 Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem
 Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła — czy też Pan niemoże
 Rozbiegłe moje ptastwo wędzić nazad w zboże?
 — Ja ptastwo pędzić? krzyknął Hrabia z zadziwieniem;
 Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.

Chwilę jeszcze s szpaleru przez majowe zwoje
 Przeświecało coś na wskrós jakby oczu dwoje.
 Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie:
 Dusza jego jak ziemia po słońca zachodzie,
 Ostygła powoli, barwy brała ciemne:
 Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.
 Zbudził się, sam niewiedząc, na kogo się gniewał;
 Niestety mało znalazł! nadto się spodziewał!
 Bo gdy zagonem peźnał ku owój pastérce,
 Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
 Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrzył,
 W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!
 Wszystko znalazł inaczej: prawda że twarz ładną,
 Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną!
 A owa pulchność liców i rumieńca żywość
 Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!
 Znak że myśl jeszcze drzémie, że serce nieczynne:
 I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
 Pocóż się łudzić, krzyknął, zgaduje, po czasie!
 Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!

Z Nimfy zniknięciem całe czarowne przezrocze
 Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze
 Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
 Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,
 Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.
 Niezapomniał naczyńia: złocista konewka,
 Ow rożek Amaltei, była to marchewka!
 Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:
 Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec kiedy ujrzy cykoryi kwiaty
 Wabiące dłoń miękkiemi, lekkimi bławaty,
 Chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i s podmuchem
 Cały w wiatr na powietrzu rozleci się puchem,
 A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
 Nagą łodygę szarozielonawej trawy.
 Hrabia weisnął na oczy kapelus z i wracał
 Tamtędy kędy przyszedł, ale drogę skracał,
 Stąpając po jarzynach, kwiatach i agreście,

Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!
 Przypomniał że dziewczynie mówił o śniadaniu;
 Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu
 W ogrodzie, blisko domu? może szukać wysłą?
 Postrzegli że uciekał? kto wie co pomyśla?
 Więc wypadało wrócić. Chyląc się u płotów
 Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów
 Rad był przecież że wyszedł w końcu na gościniec,
 Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.
 Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu
 Jak złodziej od śpiehlerza, aby nie dać śladu
 Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.
 Tak Hrabia był ostrożny choć go nikt nieśledził;
 Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.
 Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
 Pojęj kobiereach, na wskroś białych pniów brzoźowych,
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
 Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
 Niby tańce, i dziwny ubior: istne duchy
 Błądzące po księżycu. Tamei w czarnych, ciasnych,
 Ci w długich, rozpuszczonychszatach, jak śnieg jasnych;

Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,
 Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem
 Obwiani, idąc, na wiatr puszczejają zasłony
 Ciągące się za głową, jak komet ogony.
 Każdy w innéj postawie: ten przyrośł do ziemi,
 Tylko oczyma kręci na dół spuszczone,
 Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy.
 Jak po linie, ni wprawo, ni w lewo niezбочy;
 Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
 Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
 Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
 Ani mówią do siebie, ani się witają,
 Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
 Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,
 Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
 Błąkają się spokojne, ciche, lecz posepne.

Któżby zgadnął że owi, tak mało ruchomi,
 Owi mileżący ludzie, są nasi znajomi?
 Sędziowscy towarzysze! z huczego śniadania
 Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania:
 Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować

Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
 Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
 Służące do przechadzki oponoche płócienne
 Którymi osłaniają po wierzchu kontusze,
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze,
 Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.
 Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
 I kilku po francusku chodzących.

Tęj sceny

Hrabia niepojął, nieznał wiejskiego zwyczaju,
 Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
 Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,
 Co są godłem paniństwa: bo czerw ich niezjada
 I dziwna, żaden owad na nich nieusiada.
 Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*
 Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
 Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy

I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
 Czy zimą. Ale Wójski zbierał *muchomory*.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
 Lecz niesą bez użytku, one zwierza pasą
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
 Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
 Naczyń stołowych sterczą: tu s krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
 Niby czareczki różnym winem napełnione;
Koźlak jak przewrocone kubka duo wypukłe,
Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
 I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka — zaś innych imiona
 Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
 Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
 Ni wilezych ni zajęczych nikt dotknąć nieraczy,
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,

Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nierostropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich niezbiera,

Rostargniona, znudzona, do koła spoziera,
Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie

Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie;

Assessor ją złośliwiej, równał do samicy,
Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,

Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,

I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,

Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.

Wśródki szarzał się kamień; strumień s pod kamienia

Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia

Chował się między gęste i wysokie zioła,

Które wodą pojone bujały do koła;

Tam ów bystry swawolnik spowijany w trawy

I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,

Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,

Jako dziecko krzykliwe złożone w kolebce,

Gdy matka nad niem zwiąże firanki majowe

I liścia makowego nasypie pod głowę:

Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania

Telimena, zowiąc je *Świątynią dumania*.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik

Z ramion, swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik,

I podobna pływaczce, która do kąpieli

Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,

Kłęknęła i powoli chyliła się bokiem;

Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,

Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła,

Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,

Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,

Błysnął francuskiej książki papier welinowy;

Nad alabastrowemi stronicami księgi,

Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym szalu,

W sukni długiej, jak gdyby w powłoce koralu,

Od której odbijał się włos z jednego końca,

Z drugiej czarny trzewik; po bokach błyszcząca

Śnieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,
Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety!

Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety,
Darmo czekały znawców, nikt niezważał na nie,
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,
I nieśmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem:
Jak strzelec gdy w ruchomój, gałęzistej szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby iedzie miedzą,
A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą;
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał

I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.
Z wiatrem igrały białe poły szarafana,
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;

Słomiany, podwiązany kapeluszy, od ruchu
Naglego chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
Spadając to na barki, to znówu na oczy;
W ręku ogromna laska: tak Pan Sędzia kroczy.
Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
I wsparłszy się oburącz na gałkę słonową
Trzciny ogromnej, s taką ozwał się przemową.
Widzi Aśka od czasu jak tu u nas gości
Tadeuszek, niemało mam niespokojności;
Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyzna,
Wszakto moja na świecie pociecha jedyna,
Przyszły dziedzic fortunki mojej. Z łaski nieba
Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;
Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie:
Ale zważajno Aśka moje utrapienie!
Wiesz że Pan Jacek brat mój, Tadeusza ociec,
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,
Niechce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,
Nawet niechce synowi oznajmić że żyje,
A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony

Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.
 Potém zgodził się przecie by w domu pozostał
 I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
 Partycę upatrzyłem; nikt z obywateli
 Niewyrówna z imienia ani z parenteli
 Podkomorzemu; jego starsza córka Anna
 Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna.
 Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,
 Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie
 Jest w tém sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?
 To myślisz Tadeusza zostać Dobrodziejem,
 Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!
 Świat mu zawiążesz! wierz mi, kłąć was kiedyś będzie!
 Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!
 Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecko,
 Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie;
 Dobrze brat robi gdy go do stolicy wyśle;
 Naprzykład do Warszawy? lub wie brat co myślę,
 Żeby do Peterburka? Ja pewnie téj zimy
 Pojadę tam dla sprawy; razem ułożymy

Co zrobić s Tadeuszem; znam tam wiele osób,
 Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.
 Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
 A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,
 Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
 Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,
 Mając już i znaczenie i znajomość świata.
 I cóż brat myśli o tém? — Jużci w młode lata,
 Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
 Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć;
 Ja za młodu nie mało świata objechałem,
 Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
 Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
 Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.
 Człek nie mało skorzystał! chciałbym i synowca
 Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
 Jak czeladnika który terminuje lata
 Ażby nabył trochę znajomości świata.
 Nie dla rang, ni orderów! proszę uniżenie,
 Ranga moskiewska, order, cóż to za znaczenie?
 Któryż to z dawnych Panów, ba nawet dzisiejszych,
 Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,

Dbaj o podobne fraszki; przecież są w estymie
 U ludzi, bo szanujem w nich ród, dobre imię,
 Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
 Obywatelskim, nie zaś czymś tam faworem. —

Telimena przerwała: « Jeśli brat tak myśli,
 Tém lepiej, więc go jako wojażera wyślij. »

Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę
 Chciałbym bardzo, cóż kiedy mam trudności nowe!
 Pan Jacek niewypuszcza z opieki swój syna,
 I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
 Robaka, który przybył s tamtej strony Wisły,
 Przyjaciel brata, wszystkie wie jego zamysły;
 A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
 I chcą by się ożenił, aby pojął Zosię,
 Wychowaną Wać Pani; oboje dostaną,
 Oprocz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano
 W kapitałach; wiesz Aśka że ma kapitały
 I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,
 Ma więc prawo rozrządzać — Aśka pomyśl o tém
 Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;

Trzeba ich s sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
 Szczególnie Zosia mała, lecz to nic nieszkodzi;
 Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,
 Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia.

Telimena zdziwiona i prawie wylekła,
 Podnosiła się coraz, na szalu ukłękła,
 Zrazu słuchała pilnie, potem dłoni ruchem
 Przechrzyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,
 Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
 Na powrót w usta mówcy —

— « A! A! to rzecz nowa!
 Czy to Tadeuszowi szkodzi czy nieszkodzi,
 Rzekła z gniewem, sądz o tém sam W Pan Dobrodziej,
 Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie,
 Zróbcie go ekonomem, lub w karczynie posadźcie,
 Niech szynkuje lub z lasu niech zwierzynę znosi:
 Z nim sobie co zechcecie zróbcie; lecz do Zosi?
 Co Wać Państwu do Zosi? ja jej ręką rządę,
 Ja sama. Że Pan Jacek dawał był pieniądze
 Na wychowanie Zosi i że jej wyznaczył

Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył;
 Toć jej jeszcze niekupił. Z resztą Państwo wiecie,
 I dotąd jeszcze o tém wiadomo na świecie,
 Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,
 Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.
 (Tęj części mowy Sędzia słuchoł z niepojętym
 Pomieszaniam, żałością i widocznym wstrętem;
 Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,
 I ręką potakując, mocno się zapłonił.)

Telimena kończyła: byłam jej piastunką,
 Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.
 Nikt oprócz mnie niebędzie myślił o jej szczęściu —
 A jeśli ona szczęście znajdzie w tém zamięściu?
 Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; jeśli Tadeusza
 Podoba? — Czy podoba? to na wierzbie gruszka;
 Podoba, niepodoba, a to mi rzecz ważna!
 Zosia niebędzie, prawda, partya posażna,
 Ale też niejest z lada wsi, lada szlachcianka,
 Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
 Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!
 Staraliśmy się tyle o jej wychowanie!

Chybaby tu zdziżała — Sędzia pilnie słuchoł
 Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchoł,
 Bo rzekł dosyć wesoło: no to i cóż robić,
 Bóg widzi, szczerze chciałem interessu dobić;
 Tylko bez gniewu, jeśli Aścka się niezgodzi,
 Aścka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi;
 Radziłem bo brat kazał, nikt tu nieprzymusza;
 Gdy Aścka rekuze Pana Tadeusza,
 Odpisuję Jackowi że nie z mojej winy,
 Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
 Teraz sam będę radzić; pono s Podkomorzym
 Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:
 « Ja nie nierekuzuję, braciszku, pomału!
 Sam mówiłeś że jeszcze zawczesnie — zbyt młodzi —
 Rospatrzmy się, czekajmy, nie to niezaszkodzi,
 Poznajmy s sobą Państwu młodych; będziem zważać,
 Niemożna szczęścia drugich tak na traf narażać;
 Ostrzegam tylko wczesnie, niech brat Tadeusza
 Nienamawia, kochać się w Zosi nieprzymusza,
 Bo serce niejest sługa, niezna co to pany,

I nieda się przemocą okuć w kajdany. —

Zacém Sędzia powstawszy odszedł zamyślony;

Pan Tadeusz s przeciwnej przybliżył się strony,

Udając że szukanie grzybów tam go zwabia;

W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów s Telimeną

Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną;

Dobył s kieszeni papier i ołówek, sprzęty

Które zawsze miał s sobą, i na pień wygięty

Rospiąwszy kartkę, widać że obraz malował,

Mówiąc sam s sobą : Jakbyś umyślnie grupował,

Ten na głązie, ta w trawie, grupa malownicza!

Głowy charakterowe! s kontrastem oblicza!

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,

Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał —

Miałoby to cudowne, śliczne widowisko

Zginąć albo zmienić się gdy podejde blisko?

Ten aksamit traw, będziez to mak i botwinie?

W Nimfie tej czyż obaczę jaką ochmistrzynię?

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał

W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,

Lecz mało ją uważał; zadziwił się z razu

Rozpoznając w niej model swojego obrazu.

Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania,

Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.

W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;

Twarz ożywiona wiatru świeżemi powiewy,

Sporem s Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,

Nabrała mocnych, żywszych niż zwykłe rumieńców.

Pani, rzekł Hrabia, racz mój śmiałości darować,

Przychodzę i przepraszać i razem dziękować.

Przepraszać, że jej kroków śledziłem ukradkiem;

I dziękować, że byłem jej dumania świadkiem;

Tyle ją obraziłem! winienem jej tyle!

Przerwałem chwilę dumań: winienem ci chwile

Natchnienia! chwile błogie! potępiaj człowieka,

Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!

Na wielem się odważył, na więcej odważyć!

Sądź! tu ukląkł i podał swoje peizaże.

Telimena sądziła malowania próby
 Tonem grzecznej lecz sztukę znającej osoby;
 Skapa w pochwałę lecz nieszczerzyła zachętu,
 Brawo, rzekła, wieszując, niemało talentu.
 Tylko Pan niezaniebuj; szczególniej potrzeba
 Szukać pięknej natury! O szczęśliwe nieba
 Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
 Wy klasyczne Tyburu spadające wody!
 I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
 To Hrabio kraj malarzów! u nas żal się Boże.
 Dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki
 Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
 Albo w Album umieszczę do rysunków zbiorku,
 Które zewsząd skupiałam : mam ich dosyć w biurku.
 Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
 Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
 Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
 Śmiech i uraganie się nad oczyszczonym krajem.
 A przecież w około nich ciągnęły się lasy
 Litewskie! tak poważne, i tak pełne krasy! —

Czeremchy oplatanę dzikich ebnieliów wieńcem,
 Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
 Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
 Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
 A niżej dziatwa lesna : głóg w objęciu kalin,
 Ożyna czarne usta tuląca do malin.
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
 Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,
 W koło pary małżonków. Stoi pośród grona
 Para, nad całą lesną gromadą wzniesiona
 Wysmukłością kibici i barwy powabem,
 Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
 A dalej jakby starce na dzieci i wnuki
 Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
 Tam matrony topole, i mechami brodaty.
 Dąb włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
 Wspiera się jak na grobów połamanych słupach,
 Na dębów, przodków swoich skamieniałych trupach.
 Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomału
 Długą rozmową, w której niemógł brać udziału;
 Aż gdy zaczęto słać cudzoziemskie gaje,

I wylizac s kolei wszystkich drzew rodzaje :
 Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
 Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
 Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
 Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
 Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,
 Nakoniec niemógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
 I patrząc w las ojezysty, rzekł pełen natchnienia :
 « Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,
 Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie
 I na południu, w owęj pięknej Włoskiej ziemi;
 Któreż równać się może z drzewami naszymi ?
 Czy aloes z długimi jak konduktor pałki?
 Czy cytryna karlica z złocistemi gałki ?
 Z liściem lakierowanym krótka i pękata,
 Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata ?
 Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy !
 Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy ;
 Mówią że bardzo smutnie wygląda na grobie,
 Jest to jak lokaj niemiec we dworskiej żałobie,

Nieśmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
 Aby się etykiecie niczem niesprzeciwić.

Czyż niepiękniejsza nasza, pocziwa brzezina,
 Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna
 Lub wdowa męża, ręce załamie, rostoczy
 Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy !
 Niema z żalu, postawą jak wymownie szłocha !
 Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
 Niemaluje drzew naszych pośród których siedzi ?
 Prawdziwie, będą s Pana żartować sąsiedzi,
 Że mieszkając na żywej Litewskiej równinie,
 Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.

Przyjacielu, rzekł Hrabia ! piękne przyrodzenie
 Jest formą, tłem, materyą, a duszą natchnienie
 Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
 Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
 Niedosć jest przyrodzenia, niedosyc zapału,
 Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
 Niewszystko co jest piękne wymalować da się!
 Dowiesz się o tém wszystkiem s książek w swoim czasie!

Co się tycze malarstwa : do obrazu trzeba
 Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba,
 Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie pejzażów,
 Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.
 Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle
 Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele).
 J oprócz Ruisdalla, na całej północy
 Gdzie był pejzażysta który pierwszej mocy?
 Niebios, niebios potrzeba. — Nasz malarz Orłowski,
 Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.
 (Trzeba wiedzieć że to jest Sopliców choroba,
 Że im oprócz Ojczyzny nie się niepodoba)
 Orłowski który życie strawił w Peterburku,
 Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biurku)
 Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raj,
 A nieuwierzy Hrabia jak tęsknił po kraju,
 Lubił ciągle wspominać swęj młodości czasy,
 Wystawiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy...
 I miał rozum, zawołał Tadeusz z zapałem :
 Te państwa niebo Włoskie, jak o niem słyszałem,
 Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda ;

Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda ?
 U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
 Ileż scen i obrazów s samej gry obłoków!
 Bo każda chmura inna : na przykład jesienna
 Pełźnie jak żółw' leniwa, ulewą brzemienna,
 I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi
 Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.
 Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
 Kragła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
 Szum wielki słyhać w koło : nawet te codzienne,
 Patrzenie Państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
 Z razu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
 A s tyfu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi :
 Seiskają się, grubieją, rosną, nowe dziwy!
 Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
 Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
 Przelatują jak tabun rumaków po stepie :
 Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się — nagle
 Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
 Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
 Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!

Hrabia i Telimena poglądali w górę;
 Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,
 A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny;
 Kilka już upłynęło minut cichej sceny;
 Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,
 I wydobył ołówek: wtém przykry dla uszu
 Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu
 Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:
 Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem;
 Rachunki myśli wielkiej, plany wyobrażeń,
 Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
 Wylania się serc czułych! gdy spiż zdala ryknie,
 Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!
 Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,
 « Coż zostaje? » a ona mu rzekła: « wspomnienie »
 I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,
 Podała mu urwany kwiatek niezabudek.
 Hrabia go ucałował i na pierś przyśpilał,
 Tadeusz z drugiej strony krzak ziela roschyłał,
 Widząc że się ku niemu tém zielen przewija

Coś białego, była to rączka jak lilija:
 Pochwycił ją, całował, i usta po cichu
 Utonął w niej jak pszczoła w lilii kielichu;
 Uczuł na ustach zimno; znalazł klucz i biały
 Papier w trąbkę zwiniiony, był to listek mały;
 Porwał, schował w kieszenie, niewie co klucz znaczy,
 Lecz mu to owa biała kartka wytlumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów
 Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;
 Odgłos to był szukania i nawoływania,
 Hasło zakońzonego na dziś grzybo-brania,
 Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy
 Jak się Hrabiemu zdało, owszem obiadowy.
 Dzwon ten w każde południe krzyczący s poddasza,
 Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
 Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,
 I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
 Wychodziła gromada niosąca krobeczki,
 Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
 Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły
 Jako wachlarz zwiniiony, borowik rozrosły,

W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,
Opieńki, i rozlicznej barwy *Surojadki*.

Wojski miał muchomora. S próżnemi przychodzi
Rękami *Telimena*, z nią *Panicze* młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem :

Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem ;

Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,

Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;

Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy *bernardyńcu*.

Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,

Podano w kolej wódkę, zaczęli wszyscy siedli,

I chołodziec litewski, milerkiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszej niż się zwykle zdarza,

Nikt niegadał pomimo wezwań gospodarza.

Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie

Myśliły o jutrzejszej walce i zakładzie;

Myśl wielka zwykle usta do milezenia zmusza.

Telimena mówiąca wciąż do *Tadeusza*,

Musiała ku *Hrabiemu* nieraz się się odwrócić,

Nawet na *Assessora* nieraz okiem rzucić :

Tak ptasznik patrzy w sidło kędy szczygły zwabia
I razem w pastkę wróbla. *Tadeusz* i *Hrabia*

Obadwa radzi s siebie, obadwa szczęśliwi,

Oba pełni nadziei, więc niegadaliwi.

Hrabia na kwiatek dumnie opuszczał wejrzenie
A *Tadeusz* ukradkiem spozierał w kieszenie

Czy ów kluczyk nieuciekł, ręką nawet chwycił

I kręcił kartkę której dotąd nieprzeczytał.

Sędzia *Podkomorzemu* węgryzna, szampańska
Dolewał, służył pilnie, ścisnął za kolana,

Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty

I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania :

Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania

Gość niespodziany, szybko wpadając gajowy;

Niezważał nawet że czas właśnie obiadowy,

Podbiegł do Pana; widać s postawy i z miny

Że ważnej, i niezwykłej jest posłem nowiny.

Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,

On odetchnąwszy nieco, rzekł : *Niedźwiedź* *Mospanie!*

Resztę wszyscy odgadli ; że zwier z *matecznika*

Wyszedł, że w Zaniemeńską puszcę się przemyka,
 Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
 Choć ani się radzili, ani namyślali —
 Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
 Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,
 Które wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu
 Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

Na wieś! zawołał Sędzia, hej konno, setnika,
 Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;
 Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
 Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.

Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
 Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo
 Dwie pijawki, które w całej okolicy słyną,
 Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
 Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu
 J przystawić ie tutaj konno dla pośpiechu.
 « Wańka! krzyknął na chłopea Assessor po rusku,
 Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na bruku:

Wiesz, tasak co od Księcia miałem w podarunku;
 Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku.
 « Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu.
 Assessor wołał ciągle ołowiu, ołowiu!
 Formę do kul nam w torbie. — Do Księdza Plebana
 Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro zrana
 Mszę miał w kaplicy lesnej; krócioczną offertą
 Za myśliwych, insza zwykła świętego Huberta.

Po wydanych rozkazach nastało milczenie;
 Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,
 Jak gdyby kogoś szukał; z wolna wszystkich oczy
 Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
 Znak to był że szukają na przyszlą wyprawę
 Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.
 Wojski powstał, zrozumiał towarzyszków wolę,
 I uderzywszy ręką poważnie po stole,
 Pociągnął złocistego z zanadru łańcuszka,
 Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka.
 Jutro rzekł, pół do piątej, przy lesnej kaplicy
 Stawią się bracia strzelcy, wiara obławniacy.

Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;

Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,

Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,

Lub na płaszcach i siodłach śpią próżni kłopotu;

A wodze wśród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień szedł na kowaniu koni,

Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,

U wieczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;

Nawet strona Kusego s partją Sokoła,

Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:

Pobrawszy się pod ręce Rejent z Assessorem

Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana

Szła spać wcześniej, żeby przebudzić się z rana.



KSIEGA CZWARTA.

DYPLOMATYKA

I ŁOWY.

TREŚĆ.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza—Zapóźne postrzeżenie omyłki—
Karczmia—Emissaryusz—Zręczne użycie tabakierki zwraca dyskus-
sye na właściwą drogę—Matecznik—Niedźwiedź—Niebezpie-
czeństwo Tadeusza i Hrabiego—Trzy strzały—Spor Sa-
galasówki s Sanguszkówką rozstrzygnięty na stronę
jednorórki Horeszkowskiej—Bigos—Wojskie-
go powieść o pojedynku Dowejki z Domej-
ką, przerwana szczuciem kota—Ko-
niec powieści o Dowejce i Do-
mejce.

Rowienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,

I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze
 Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
 Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
 A Wilii widokiem i szumem Wilejki
 Ukołysany marzył o wilku żelaznym ;
 I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym
 Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
 Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
 S tego to miasta Wilna, jak z Rzymskiej wilczyey
 Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
 Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
 Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierze.
 Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
 Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów!

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
 Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy,
 Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
 I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
 Drzewa moje ojcyste! jeśli niebo zdarzy,
 Bym was oglądał znowu przyjaciele starzy,
 Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?

Wy, koło których niegdys pełzałem jak dziecko ;
 Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
 Wiekami wydrążonym jakby w dobrym domu,
 Dwónastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
 Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
 I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
 Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
 Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
 Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
 Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!
 Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom,
 Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
 Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,
 Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,
 Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem o domowe drzewa!
 Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy,
 Za chybną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie

Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,
 A koło mnie srebrzył się, tu mech siwobrody,
 Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
 Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki —
 W około była ciemność; gałęzie u góry
 Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,
 Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem :
 Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast : tu wywrot dębu,
 Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
 Na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy,
 Tam gałęziste kłody, tu w pół zgniłe tramy,
 Ogrodzone parkanem traw : w środek tarasu
 Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
 Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
 Na pół zgryzione, jakichś nieostróżnych gości.
 Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie
 Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,

I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
 Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie,
 Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
 Schował się, ale dziobem nieprzestaje pukać,
 Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.
 Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma.
 Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
 Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
 Chociaż tak osłoniona, do koła spojiera,
 Dostrzegłszy gościa skacze gajów tancznicą,
 Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
 Nakoniec w niewidzialny otwor pnia przepada,
 Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.
 Znowu cicho.

W tém gałąź wstrzęsła się trącona,
 I pomiędzy jarzębin rozsunięte grona,
 Krańsze od jarzębin zajaśniały lica,
 To jagod lub orzechów zbieraczka dziewica;
 W krobeczce s prostej kory, podaje zebrane

Bruśnice świeże, jako jej usta rumiane;
 Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
 Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

W tém usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
 Zgadują że się ku nim zbliża polowanie,
 J pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi
 Zniknęli nagle z oczu, jako lesne bogi.

W Soplicowie ruch wielki : lecz ni psów hałas,
 Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,
 Ni odgłos trąb dających hasło polowania,
 Nie mogły Tadeusza wyciągnąć s posłania;
 Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.
 Nikt z młodzieży niemyślił szukać go po dworze,
 Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano :
 O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał : słońce w otwór, co wśród okienicy
 Wyrznięty był w kształt sereca, wpadło do ciemnicy
 Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło ;
 On jeszcze chciał zadrzeć i kręcił się w koło

Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,
 Przebudził się ; wesołe było przebudzenie.
 Czuł się rzeźwym jak ptaszek , z lekkością oddychał ,
 Czuł się szczęśliwym , sam się do siebie uśmiechał :
 Myśląc o wszystkim co mu wczora się zdarzyło,
 Rumienił się, i wzdychał, i serce mu biło.

Spojrzał w okno, o dziwy! w promieni przezroczu,
 W owém sercu, błyszczało dwoje jasných oczu,
 Szeroko otworzonych, jak zwykle wejście
 Kiedy z jasności dziennéj przedziera się w cienie;
 Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku
 Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,
 Palce drobne zwrócone na światło różowe,
 Czerwieniły się na wskrós jakby rubinowe;
 Usta widział ciekawe, rostulone nieco,
 I zębki, co jak perły wśród koralów świecą,
 I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią
 Różową, samę całe jak róże się płońią.

Tadeusz spał pod oknem ; sam ukryty w cieniu
 Leżąc nawznak cudnemu dziwił się zjawieniu,

I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,
 Nie wiedział czy to jawa, czyli mu się marzy
 Jędna s tych miłych, jasnych twarzączek dziecińczych,
 Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.
 Twarzączka schyliła się — ujrzał, drżąc z bojaźni
 I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,
 Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,
 W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,
 Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku
 Świeciły się jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało
 Przestraszone łoskotem; czekał, niewracało!
 Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie
 I słowa: « Niech Pan wstaje, czas na polowanie.
 Pan zasnął. » Skoczył z łóżka i obu rękami
 Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami
 I rozwarłszy się w obie uderzyła sciany;
 Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany,
 Nie niewidział, nie dostrzegł niczyjego śladu:
 Niedaleko od okna był parkan od sadu,
 Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce

Chwiały się; czy je lekkie potrafiły ręce?
 Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,
 Nieśmiało iść w ogród: tylko wsparł się na parkanie,
 Oczy podniósł, i s palcem do ust przyciśnionym
 Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapionem
 Nie rozerwał myślenia; potem w czoło stukał,
 Niby do wspomnień dawnych uspiionych w niem pukał,
 Nakoniec gryząc palce do krwi się zadrasnął,
 I na cały głos — dobrze, dobrze mi tak! — wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
 Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:
 Wszyscy ruszyli w pole; Tadeusz nadstawił
 Uszu, i ręce do nich jak trąbki przypawił,
 Słuchał, aż mu wiatr przyniósł więcej od puszczy,
 Odgłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy.

Koń Tadeusza w stajni czekał osiodłany,
 Wziął więc flintę, skoczył nań, i jak opętany
 Pędził ku karczmom które stały przy kaplicy,
 Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,
 Oknami wzajem sobie grożące jak wrogi;
 Stara należy s prawa do zamku dziedzica,
 Nową na złość zamkowi postawił Sopllica.
 W tamtej, jak w swém dziedzictwie rej wodził Gerwazy,
 W tej najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma niebyła ciekawa s pozoru.
 Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,
 Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,
 A potem go żydowie po świecie roznieśli:
 Rodzaj architektury, obcym budowniczym
 Wcale nieznanym; my go od żydów dziedziczym.

Karczma s przodu jak korab', s tyfu jak świątynia:
 Korab', istna Noego czworogranna skrzynia,
 Znany dziś pod prostackim nazwiskiem stodoły;
 Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,
 Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,
 I płazów choć po parze, są też i owady.
 Część tylnia nakształt dziwniej świątyni stawiona
 Przypomina s pozoru ów gmach Salomona,

Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieśle
 Hiramscy na Syonie wystawili cieśle.
 Żydzi go naśladowają dotąd we swych szkołach,
 A szkoł rysunek widny w karczmach i stodołach.
 Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,
 Pogięty jako kołpak żydowski podarty.
 Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
 Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;
 Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
 Trwałe, chociaż w pół zgniłe, i stawione krzywo
 Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modelów
 Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
 Nad kolumnami biegą w półokrągłe łuki,
 Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.
 Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłóttem,
 Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane skłutem,
 Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;
 Na końcu wiszą gałki, coś nakształt guzików,
 Które żydzi modląc się na łbach zawieszają,
 I które po swojemu, cyces nazywają.
 Słowem zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
 Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;

Dach jak czapka, jak broda strzecha rostrzęsniona,
 Ściany dymne i brudne jak czarna opona,
 A s przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiej szkole,
 Jedna część pełna izbic ciasnych i podłużnych,
 Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;
 W drugiej ogromna sala. Koło każdej ściany
 Ciągnie się wielonożny stół wąski drewniany,
 Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,
 Jako dzieci do ojca.

Na stołkach do koła

Siedziały chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna,
 Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
 Po ranniej mszy s kaplicy, że była niedziela,
 Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
 Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,
 Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.
 W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi
 Szarofanie zapiętym hałkami srebrnymi,
 Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,

Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;
 Rzucając w koło okiem roskazy wydawał,
 Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał
 Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,
 Lecz nie służył nikomu; tylko się przechadzał.
 Żyd stary i powszechnie znany s poczciwości,
 Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości
 Nikt ze szlachty niezaniósł nań skargi do dworu;
 O cóż skarżyć? miał trunki dobre do wyboru,
 Rachował się ostrożnie lecz bez oszukaństwa,
 Ochoty niezabraniał, nie cierpiał pijaństwa:
 Zabaw wielki miłośnik; u niego wesele
 I chrcziny obchodzono; on w każdą niedzielę
 Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,
 Przy której i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam słynął muzycznym talentem;
 S cymbałami, narodu swego instrumentem,
 Chadzał niegdyś po dworach i graniem zduniewał
 I pieśniami, bo biegle i uczenie śpiewał.
 Chociaż żyd dosyć czystą miał polską wymowę,
 Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;

Przywoził mnóstwo s każdej za Niemen wyprawy,
 Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;
 Wieść, niewiem czyli pewna, w całej okolicy
 Głosiła, że on pierwszy przywoził z zagranicy
 I upowszechnił wówczas, w tamecznym powiecie,
 Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,
 A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonow
 Wygrały Włochom polskie trąby legionów
 Talent spiewania bardzo na Litwie popłaca,
 Jedna miłość u ludzi, wsławia i wzbogaca :
 Jankiel zrobił majątek ; syt zysków i chwały
 Zawiesił dźwięcznostronne na scianie cymbały ;
 Osiadłszy z dziećmi w karczynie, zatrudniał się szynkiem,
 Przy tém w pobliskim mieście był też podrabinkiem,
 A zawsze miłym wszędzie gościem, i domowym
 Doradcą; znał się dobrze na handlu zbożowym,
 Na wicinym : potrzebna jest znajomość taka
 Na wsi. — Miał także sławę dobrego Polaka.
 On pierwszy zgodził kłótnie często nawet krwawe
 Między dwiema karczmami, obie wziął w dzierzawę ;
 Szanowali go równie i starzy stronnicy

Horeszkowscy i sładzy sędziego Soplcy.
 On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym
 Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym ;
 Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy,
 Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego niebyło; ruszył na obławę,
 Niechcąc aby tak ważną i trudną wyprawę
 Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony ;
 Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego najdalsze od progu,
 Między dwiema ławami, w samym karczynie rogu,
 Zwane *pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował ;
 Jankiel go tam posadził; widać że szanował
 Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegł
 Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
 I rozkazał dolewać lipcowego miodu.
 Słychać, że z Bernardynem znali się za młodu
 Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał
 Nocą do karczynie, tajnie z żydem się naradzał
 O ważnych rzeczach ; słychać było że towary

Książd przemycał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole, w półgłęboko rosprowiał,
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze;
Brano z niej, i kichała szlachta jak moździerz.

« Rewerendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,
To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;
Od czasu jak nos dzwigam (tu głośną nos długi)
Takię niezazywałem (tu kichnął raz drugi)
Prawdziwa Bernardynka, pewnie s Kowna rodem,
Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.
Byłem tam lat już — Robak przerwał mu « na zdrowie
Wszystkim Waszmościom, moi Gościwi Panowie;
Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi
Z dalszej strony niż myśli Skołuba Dobrodziej;
Pochodzi z Jasnej Góry; Xiężą Paulinowie
Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,
Kędy jest obraz tyłu cudami wsławiony,
Bogarodzicy Panny, Królowej korony
Polskiej; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!

Koronę jeszcze dotąd piastuje królewska,
Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyma siedzi! »
— S Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam wspomiedzi,
Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;
Czy to prawda że Francuz gości teraz w mieście,
Że chce kościół rozwałać, i skarbiec zabierze,
Bo to wszystko w Litewskim stoi Kurierze?
— Nieprawda rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy
Napoleon katolik jest najprzykładańszy;
Wszak go papież namaścił, żyją s sobą w zgodzie
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,
Który się trochę popsuł; prawda s Częstochowy
Oddano wiele srebra na skarb narodowy
Dla Ojczyzny, dla Polski, sam Pan Bóg tak także,
Skarbcem Ojczyzny zawsze są jego ołtarze;
Wszakże w Warszawskim Księstwie mamy sto tysięcy
Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcej,
A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini,
Wy tylko grosz dajecie do Moskiewskiej skrzyni.
— Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą.
— Oj dobrodzieju, chłoppek ozwał się s pokorą,
Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę,

Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,
 Lecz nas drą jak na łyka — Cham, Skońuba krzyknął,
 Głupi, tobiec to lepiej, tyś chłopie przywyknął
 Jak węgórz do odarcia; lecz nam *urodzonym*,
 Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwyczajonym!
 Ach bracia! wszak to dawniej szlachciec na zagrodzie!
 — (Tak, tak, krzyknęli wszyscy: równy wojewodzie!)
 Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować
 Papiery, i szlachectwa papierem probować.
 — Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,
 Waszec s pradziadów chłopów uszlachcony szłaha,
 Ale ja, s kniaziów! pytać u mnie o patenta,
 Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta!
 Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny
 Kto jej dał patent rosnąć nad wszystkie krzewiny.
 — Kniaziu, rzekł Żagiel, świec Waśc baki lada komu,
 Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.
 — Waśc ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta
 Aluzya, że w rodzie bywał neofita.
 — Fałsz, przerwał Birbarz, przecież ja s tatarskich Hrabów
 Pochodzę, a mam krzyże nad herbem korabiów.
 — Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotém,

Herb Książęcy, Strykowski gęsto pisze o tém.

Za czém wielkie powstały w całej karczmie szmery;
 Książd Bernardyn uciekł się do swój tabakiery,
 W koleję częstował mówców, gwar zaraz uciechnął,
 Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął;
 Bernardyn korzystając s przerwy, mówił dalej:
 — Oj wielcy ludzie od tej tabaki kichali!
 Czy uwierzycie Państwo, że s tej tabakiery,
 Pan jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?
 — Dąbrowski? zawołali — Tak, tak, on jenerał;
 Byłem w obozie gdy on Gdańsk Niemcom odbierał,
 Miał coś pisać, bojąc się ażeby nie zasnął,
 Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął;
 Książę Robaku mówił, Książę Bernardynie,
 Obaczmy się w Litwie może nim rok minie,
 Powiedz Liwinom niech mnie czekają s tabaką
 Częstochofską, niebiorę innéj tylko taką.

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,
 Taką radość, że całe huczne zgromadzenie
 Milczało chwilę; potem napół ciche słowa

Powtarzano : tabaka s Polski? Częstochowa?
 Dąbrowski? z ziemi włoskiej? aż nakoniec razem,
 Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
 Wszyscy jednogłośnie jak na dane hasło
 Krzyknęli : Dąbrowskiego! wszystko razem wrzasło,
 Wszystko się uściśnieło : chłop s tatarskim Hrabią,
 Mitra s Krzyżem , Poraje z Gryfem i s Korabią;
 Zapomnieli wszystkiego , nawet Bernardyna ,
 Tylko śpiewali krzycząc : wódki , miodu, wina!

Długo się przysłuchiwał Ksiądz Robak piosence ,
 Nakoniec chciał ją przerwać ; wziął w obiedwie ręce
 Tabakierkę, kichaniem melodyę zmieszał ,
 I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał :
 Chwalicie mą tabakę Mości Dobrodzieje,
 Obaczcież co się wewnątrz tabakierki dzieje.
 Tu wycierając chustką zabrudzone denko,
 Pokazał malowaną armią malenką
 Jak roj much; w środku jeden człowiek na rumaku ,
 Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku ;
 Spinał konia jak gdyby chciał skakać w niebiosą,
 Jedną rękę na cuglach, drugą miał u nosa:

Przypatrzcie się , rzekł Robak , tej groźnej postawie,
 Zgadnijcie czyja? — Wszyscy patrzyli ciekawie, —
 Wielki to człowiek, Cesarz, ale nie Moskali,
 Ich Carowie tabaki nigdy niebierali.
 — Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie!
 Ja myślałem że wieley ludzie chodzą w złocie ,
 Bo u Moskalów lada jenerał Mospanie ,
 To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie ;
 — Ba, przerwał Rymsza; przecież widziałem za młodu
 Kościuszkę, naczelnika naszego narodu :
 Wielki człowiek! a chodził w krakowskiej sukmanie,
 To jest czamarce ; — w jakiej czamarce, Mospanie?
 Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką ;
 — Ale tamta s frezlami, ta jest całkiem gładką,
 Krzyknął Mickiewicz; — za tém wszczynają się swary
 O różnych taratatkach kształtach i czamary.

Przemysłny Robak widząc, że się tak rospryska
 Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska ,
 Do swojej tabakiery; częstował, kichali ,
 Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej :
 — Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa

Raz po raz, to znak pewny że bitwę wygrywa :
 Na przykład pod Austerlic; Francuzi tak stali
 Z armatami, a na nich biegła ćma Moskali ;
 Cesarz patrzył i milezał; co Francuzi strzelą,
 To Moskale półkami jak trawa się ścielą.
 Półk za półkiem cwałował i spadał s kulbaki ;
 Co półk spadnie, to Cesarz zażyje tabaki ;
 Aż w końcu Alexander ze swoim braciszkiem
 Konstantym, i z niemieckim cesarzem Franciszkim,
 W nogi s pola ; więc Cesarz widząc że po walce,
 Spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palec.
 Otoż jeśli kto s Panów coście tu przypomni
 Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni.

Ach! zawołał Skołuba, mój księżę kwestarzu!
 Kiedyż to będzie! wszak to ile w kalendarzu
 Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą,
 Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mrózą,
 A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję,
 Pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyjie.

Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać,

A żydowska rzecz ręce założywszy czekać
 Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;
 Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.
 Już ci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,
 Brzydkie Prusaćtwo zdeptał, Anglików wyrzucił
 Het za morze, Moskalom zapewne wygodzi ;
 Ale co stąd wyniknie, wieć Asan Dobrodziej ?
 Oto szlachta Litewska wtenczas na koń wsiedzie
 I szable weźmie, kiedy bić się s kim nie będzie;
 Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszcie
 Powieć, obejdę się ja bez was, kto jesteście ?
 Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,
 Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,
 A przed ucztą potrzeba dom oczyścić s śmieci,
 Oczyścić dom powtarzam, oczyścić dom, dzieci!
 Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie :
 Jakże to dom oczyścić, jakto ksiądz rozumie ?
 Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,
 Tylko niech Ksiądz Dobrodziej, jaśniej się wysłowi.

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę,
 Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,

Po chwili rzekł powstając : dziś czasu niemamy,
Potem o tém obszerniej s sobą pogadamy;
Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście
I do Wasznościów z drogi zajadę po kweście.

Niech też do Niehrymowa Ksiądz na nocleg zdąży,
Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu Pan Chorąży;
Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie :
Szczęśliwy człowiek , jako kwestarz w Niehrymowie!
I do nas rzekł Zubkowski , wstąp jeżeli faska ,
Znajdzie się tam półsztuczek pługna, masła faska,
Baran lub krówka, wspomnij księżu na te słowa :
Szczęśliwy człowiek , trafił , jak ksiądz do Zubkowa.
I do nas rzekł Skołuba , do nas Terajewicz ,
Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł s Pucewicz.
Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
Przeprowadzała Księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwój przez okno ujrzał Tadeusza
Który leciał gościńcem , w cwał , bez kapelusza,
Z głową schyloną, bladym, posepnięm obliczem,
A konia ustawicznie bodł i kropił biczem.

Ten widok bardzo Księdza Bernardyna zmieszał,
Więc za młodzieńcem kroki szybkimi pośpieszał
Do wielkiej pusezy, która jako oko sięga
Czerwiła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzechu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice :
Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafił w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopeami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się większym masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czychają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie że ludzie dna ich niedośledzą,

(Wielkie jest podobieństwo że djabły tam siedzą)
 Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą,
 A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
 Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
 Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
 Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
 I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,
 Siedzą wkoło wody, jak czarownicy kupa
 Grzejąca się nad kotłem w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
 A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gmianna głosi)
 Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
 W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
 S których się rozrastają na świat ich plemiona;
 W niej jak w arce Noego, s wszelkich zwierząt rodu
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
 W samym środku (jak słychać) mają swoje dwory,

Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszczy imperatory.
 Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
 I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;
 Dalej zaś jak podwładni szlachetni wassale,
 Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.
 Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
 Żyjący s pańskich stołów, dworscy zauszniczy.
 Te pary zwierząt głowne i patryarchalne,
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
 A sami we stolicy używają wczasu;
 Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
 Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
 Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
 Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
 Zając sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
 Kruk gdy już posiwieje, sokoł gdy oślepnie,
 Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi
 Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
 Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony

Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
 Śądto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
 Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
 Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci,
 Nieznają praw własności która świat nasz kłóci,
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
 Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
 Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
 Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,
 Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
 Onehy nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
 Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
 Ojce ich pierwsze co się w ogrójen gnieździły,
 Patrzyły na Adama nim się z nim skłóciły.
 Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
 Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
 Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,

Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
 Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
 I długo potem ręką pana już głaskane,
 Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
 Te puszczy stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
 W języku swoim strzelecy zowią: *Mateczniki*.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,
 Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział;
 Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
 Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność;
 Wyszedłeś na brzeg puszczy gdzie się las przerzedził,
 I tam zaraz leśniczy bytność twą wysledził,
 I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
 By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;
 Teraz Wojski z obławą, już od matecznika
 Postawiwszy szeregi odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
 Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho; — próżno myśliwi natężają ucha;

Próžno, jak najciekawszej mowy, każdy słuca
 Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;
 Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
 Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,
 A strzelcy obróciwszy do lasu dwórurki,
 Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta:
 Jako w twarzy lekarza wzrok przyjacioł czyta
 Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,
 Tak strzelcy ufnie w sztuki Wojskiego sposoby
 Topili w nim spójrzenia nadziei i trwogi.
 « Jest! jest! wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
 On słyszał! oni jeszcze słuchali — nareszcie,
 Słyszają, jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,
 Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
 Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,
 Ujadają: już nie jest to powolne granie
 Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
 Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
 To nie na ślad daleki ogary napadły,
 Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,
 Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt, — zwierz się broni
 I zapewne kaleczy, wśród ogarów grania

Słysząc co raz to częściej jęk psiego konania.
 Strzelcy stali, i każdy ze strzelb agotową
 Wygiął się jak łuk na przód s wciśnioną w las głową,
 Niemogą dłużej czekać! już ze stanowiska
 Jeden za drugim zmyka i w puszcę się weiska,
 Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,
 Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
 Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
 Jeżeli z miejsca zejdzie dostanie w grzbiet smyczem.
 Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu
 W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,
 Potem wciąż kanonada, aż głośniej nad strzały
 Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
 Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpaczny;
 Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdźaczy
 Grzmiały ze środka puszczy; strzelcy ci w las spieszą,
 Tamci korki odwodzą a wszyscy się cieszą;
 Jeden Wojski w żałości, krzyczy że chybiono.
 Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną
 Na przełaj zwierza między ostępem i puszczą;
 A niedźwiedź odstraszone psów i ludzi tłuszcza,

Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone
 Ku polom, skąd już zeszyły strzelcy rozstawione,
 Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków
 Wojski, Tadeusz, Hrabia s kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,
 Aż z gęstwy jak s chmur wypadł niedźwiedź nakształt gromu;
 W koło psy gonią, straszą, rwą; on wstał na nogi
 Tylne i spojrzął w koło, rykiem strasząc wrogi,
 I przednimi łapami to drzewa korzenie,
 To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
 Rwał, wałąc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo
 Kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo;
 Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
 Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy
 Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
 Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
 Aż oba jednym razem pociągnęli kórki,
 (Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki;
 Chybili; Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
 Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
 Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu s pyska

Wielkiego czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
 I łapa s pazurami już się na łby spuszcza;
 Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza
 Zmykali; zwierz za nimi wspiał się, już pazury
 Zabaczał, chybił, podbiegł, wspiał się znów do góry,
 I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
 Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy,
 Gdy Assessor z rejentem wyskoczyli z boków,
 A Gerwazy biegł s przodu o jakie sto kroków,
 Z nim Robak, choć bez strzelby—i trzech w jednej chwili
 Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.
 Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,
 I głową na dół runął, i czterma łapami
 Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie
 Wałąc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
 Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
 Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
 Swoj róg bawoli, długi, centkowany, kręty
 Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
 Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,

Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
 I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
 I zagrał: róg jak wichler, nie wstrzymanym dechem,
 Niesie w puszcę muzykę i podwaja echem.
 Umilkli strzelce, stali szczerwaczadziwieni
 Mocą, czystością, dziwną harmonią pieśni.
 Starzec cały kunszt którym niegdyś w lasach sływał
 Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
 Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
 Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
 Bo w graniu była łowów historia krótka:
 Z razu odzew dzwiczący, rzeński: to pobudka;
 Potem jęki po jękach skomla: to psów granie;
 A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu; myśliłbyś że róg kształty zmieniał,
 I że w ustach Wojskiego to grubiał do cieniał,
 Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyć
 Przeciagając się, długo, przeraźliwie wyje,

Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się grało,
 Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
 Wysłuchawszy rogowój arcydzieła sztuki,
 Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
 Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
 Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
 Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
 Jedne drugim pieśń niosą jak s choru do choru.
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
 Coraz ciższa i coraz czystsza, doskonalsza,
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu

Roskrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
 Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promiennem,
 Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
 Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
 A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
 Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszone się zwolna, i oczy gawiedzi
 Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:
 Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
 Piersiami w gęszczone trawy wplątany i wbity,
 Rosprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
 Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
 Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
 Pijawki Podkomorzego dzierżą go pod uszy,
 Z lewej strony Strapczyzna, a s prawej zawisał
 Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
 Psom między zęby, i tak paszczęki rostworzyć.
 Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
 I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

— A co? krzyknął Assessor, kręcąc strzelby rurą,
 A co? fuzyjka moja? górą nosi górą!
 A co? fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna,
 A jak się popisała? to jej nie nowina,
 Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku,
 Od Książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.
 Tu pokazywał strzelbę przedziwnej roboty
 Choć małą, i zaczął wyliczać jej cnoty.
 — Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot s czoła,
 Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła
 Stój na miejscu; jak tam stać, niedźwiedź w pole wali,
 Rwąc s kopyta jak zając coraz dalej, dalej,
 Aż mi ducha niestało, dobiecz ni nadziei,
 Aż spojrzę w prawo, sady, a tu rzadko w kniei,
 Jak też wziąłem na oko, postójże marucha,
 Pomyśliłem, i basta, ot leży bez ducha;
 Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
 Napis Sagalas London à Bałabanówka.
 (Sławny tam mieszkał słórsarz polak, który robił
 Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)

— Jak to, parsknął Assessor, do kroćset niedźwiedzi!

To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi?
 — Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,
 Tu obława, tu wszystkich weźmiem na świadectwo.

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,
 Ci stronę Assessora, ci brali Rejenta;
 O Gerwazym niewspomniał nikt, bo wszyscy biegli
 Z boków, i co się s przodu działo nie postrzegli.
 Wojski głos zabrał: teraz jest przynajmniej za co,
 Bo to Panowie nie jest ow szarak ladaco,
 To niedźwiedz, tu już nie żal poszukać odwetu,
 Czy szarparentyną, czyli nawet s pistoletu;
 Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem,
 Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.
 Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
 Oba ludzie uczciwi, szlachta s prapradziadów,
 Mieszkali po dwóch stronach nad rzekę Wilejką,
 Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.
 Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili,
 Kto zabił trudno dociec, strasznie się kłócili,
 I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
 To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.

Pojedynek ten wiele narobił bałasu;
 Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
 Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
 Opowiem od początku historję całą.

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził;
 On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził,
 Nareszcie dobył tasak, rościął pysk na dwoje,
 I w tylcu głowy, mozgu roskroiwszy słoje,
 Znalazł kulę, wy dobył, suknią ochędożył,
 Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;
 A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni,
 Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszój broni,
 Ona s téj Horeszkowskiój wyszła jednorurki,
 (Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki)
 Lecz nie ja wystrzeliłem — o trzeba tam było
 Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
 Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
 A niedźwiedz s tyfu już, już, na Hrabiego głowie,
 Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.
 Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli
 Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna.

On nas wszystkich zawstydził; oj dzielny księżyna!
 Gdy drzał, gdy się do cyngla dotknąć nie ośmielił,
 On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:
 Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!
 I w sam środek paszczeki! tak mu zęby wybić!
 Panowie! długo żyję, jednego widziałem
 Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
 Ów głośny niegdyś u nas s tyłu pojedynków,
 Ów co korki kobietom wystrzelał s patynków,
 Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,
 Ów Jacek, vulgo Wąsal; nazwiska nie wspomnę:
 Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
 Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
 Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,
 Może i trzem; Gerwazy nie będzie się chwalił,
 Ale gdyby otatnie s krwi Horeszków dziecie
 Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie,
 I moje by tam stare pogryzł niedźwiedz kości;
 Pójdź księżo, wypijemy zdrowie Jegomości.

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,
 Że po zabiciu zwierza, zjawił się na chwile,

Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
 A widząc że obadwa cali są i zdrowi,
 Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
 I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz, pęki wrzосу,
 Suche chrosty i pniaki rzucono do stosu;
 Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,
 I rosszerza się w górze nakształt baldakimu.
 Nad płomieniem oszczepty złożono w koziołki,
 Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
 Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczyste,
 I chléb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
 W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;
 Wybiera z nich największy kufel kryształowy,
 (Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka)
 Wódka to Gdańska napój miły dla Polaka;
 Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę,
 Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!
 I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu

Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano — w słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnym okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy s trzykrotnym wiwatem
Zbrojni łyżkami biegą i bodą naczynie,
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,

Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,
Zwierz na wóz złożyli, sami na koń siedli,
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assessora
I Rejenta, ci byli gniewliwsi niż wczora,
Kłócąc się o zalety, ten swój Sanguszkówki,
A ten bałabanowskiej swój Sagalasówki.
Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,
Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:
Bo na Litwie kto zwierz wypuści z obławy,
Długo musi pracować nim poprawi sławy.

Hrabia mówił że pierwszy do oszczepu godził,
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
Przymawiali wśród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,

Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;
 Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,
 Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść :
 —Assessorze, jeżeli chciałem byś z Rejentem
 Pojedykował, nie myśl że jestem zawziętym
 Na krew ludzką; broń Boże, chciałem was zabawić,
 Chciałem wam komedię niby to wyprawić,
 Wznović concept, który ja, lat temu czterdzieście,
 Wymyśliłem — przedziwny! — Wy młodzi jesteście,
 Nie pamiętacie o nim, lecz za moich czasów,
 Głośny był od tej puszczy, do poleskich lasów.

Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa
 Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
 Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas seymików,
 Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,
 Szepnął ktoś do szlachcica, day kreskę Doweyce;
 A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domeyce.
 Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupeyko
 Wiwat Doweyko, drudzy krzyknęli Domeyko;
 A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
 Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas objadu.

Gorzęj było; raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany,
 Bił się w szablę z Domeyką i dostał dwie rany;
 Potém ow szlachcic z Wilna wracając do domu,
 Dziwnym trafem z Doweyką zjechał się u promu;
 Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
 Pyta sąsiada kto on, odpowie: Doweyko;
 Nie czekając dobywa rapier spod kireyki,
 Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.

Wreszcie jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
 Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
 Że stali blisko siebie oba imiennicy,
 I do jednej strzelili razem Niedźwiedzicy.
 Prawda że po ich strzale upadła bez ducha,
 Ale już piérwój niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
 Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,
 Kto zabił Niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
 Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
 Dwóch nas jak dwóch słońc pono za nadto na świecie,
 A więc do szerpentynek i stają na mecie.

Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
 To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
 Zmienił broń; od szabel szło na pistolety,
 Stają, krzycząc że nadto przybliżyli mety;
 Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
 Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
 Oba tego strzelali — Sekunduj Hreczecha;
 Zgoda rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
 Bo taki spór nie może skończyć się na niczém;
 Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
 Dostyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,
 Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?
 Ja nie pozwolę; zgoda że na pistolety;
 Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej mety,
 Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi
 Jako sekudant skórę rościagnę na ziemi,
 I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie
 Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.
 Zgoda! wrzaśli: czas? — jutro — miejsce? Karczma Usza.
 Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza —

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wycha! tuż spod koni

Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokoł goni.
 Psy wzięto na obławę, wiedząc że s powrotem
 Na polu łatwo można napotkać się s kotem;
 Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
 Wprzód nim strzelecy poszczuli już za nim pobięgły.
 Rejent też i Assessor chcieli końmi natrzeć,
 Lecz Wojski wstrzymał krzycząc: wara! stać i patrzeć;
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę,
 Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole.
 W istocie, kot czuł s tyłu myśliwych i psiarnie,
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
 Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
 Rzekłbyś że ich nie rusza tylko ziemię trąca
 Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
 Pył za nim, psy za pyłem, zdaleka się zdało,
 Że zając, psy i charty jedne tworzą ciało:
 Jakby jakaś przez pole suwała się źmija,
 Kot jak głowa, pył s tyłu jakby modra szyja,
 A psami jak podwojnym ogonem wywija.

Rejent, Assessor patrzą, otworzyli usta,

Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladnął jak chusta,
 Zbladł i Assessor, widzą — fatalnie się dzieje,
 Owa zmija im dalej, tém bardziej dłużej,
 Już rwie się w pół, już znikła owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie s tyfu!
 Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
 Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,
 Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,
 I przybiegłszy, ze wstydu nieśmieją wzniesć oczu,
 I zamiast iść do Panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
 Assessor rzucał okiem ale niewesoło,
 Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
 Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
 Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
 Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
 Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczali, szczwacze doświadczeni;
 Myśliwi s tych mów wiele mogliby korzystać,
 Lecz nie słuchali pilnie, ci zaczęli świstać,
 Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
 Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił,
 Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił
 I kończył rzecz przerwana: na czém więc stanąłem?
 A ha! na tém, że obu za słowo ująłem
 Iż będą strzelali się przez niedźwiedzia skórę,
 Szlachta w krzyk, to śmierć pewna! prawie rura w rurę,
 A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
 Że skóra zwierza nie jest ładajką miarą.
 Wszak wiecie Waćpanowie jak królowa Dydo
 Przypłynęła do Libów i tam z wielką biędą
 Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
 Któryby się wołową skórą nakryć dawał;
 Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
 Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejka

Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domeyko.
 Patrz, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,
 Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty.
 Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
 Z jednej strony, Domeykę zaś po drugiej stronie.
 Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
 Lecz póty was niepuszczę aż się pogodzicie.
 Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
 Od śmiechu, a ja s Księdzem słowy poważnemi
 Nuż im z Ewanjelji, s statutow dowodzić,
 Niema rady: — śmieli się i musieli zgodzić.
 Spor ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,
 I Dowejko się s siostrą Domeyki ożenił,
 Domeyko pojął sióstrę szwagra, Dowejkównę,
 Podzielili majątek na dwie części równe,
 A w miejscu gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
 Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.



KSIEGA PIĄTA.

KLÓTNIA.

TREŚĆ.

Plany myśliwskie Telimeny — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki — Strzelcy wracają — Wielkie zadziwienie Tadeusza — Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrowek — U stołu wytacza się rzecz o łowach — Powieść Wojskiego o Rejtanie i Księżciu Denassów, przerwana — Zagajenie układów między stronami, także przerwane — Zjawisko s kluczem — Klótnia — Hrabia z Gierwazym odbywają radę wojenną.

Wojski chlubnie skończywszy łowy wraca z boru,
A Telimena w głębi samotnego dworu
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma
Siedzi z założonemi na piersiach rękoma,

Lecz myślą goni zwierzów dwóch; szuka sposobu
 Jakby razem obsaczyć i ułowić obu:
 Hrabie i Tadeusza. Hrabia panicz młody,
 Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody;
 Już trochę zakochany! cóż? może się zmienić!
 Potem, czy szczerze kocha? czy się zechce żenić?
 S kobietą kilka laty starszą! nie bogatą!
 Czy mu krewni pozwolą? co świat powie na to?

Telimena tak myśląc s sofy się podniosła
 I stanęła na palcach, rzekłbyś że podrosła;
 Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,
 I sama siebie pilnym obejrzała okiem,
 I znowu zapytała o radę zwierciadła;
 Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła i siadła.

Hrabia Pan! zmienni w gustach są ludzie majętni!
 Hrabia blondyn! blondyni nie są zbyt namiętni.
 A Tadeusz? prostaczek! poczciwy chłopczyną!
 Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna!
 Pilnowany nieśladco zerwie pierwsze związki,
 Przyciem dla Telimeny ma już obowiązki.

Mężczyzni póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,
 W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.
 Długo serce młodzieńca proste i dziewicze
 Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!
 Ono roskosz i wita i żegna z weselem,
 Jak skromną ucztę którą dzielim s przyjacielem.
 Tylko stary pianica, gdy już spali trzewa,
 Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.
 Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,
 Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? można im zejść z oczu,
 W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu,
 Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,
 Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,
 Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,
 Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,
 Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata!
 Nareszcie — użyć świata, póki służą lata!

Tak myśląc, po alkowie śmiało i wesoło
 Przeszła się kilka razy — znów spuściła czoło.

Wartoby też pomyśleć o Hrabiego losie —
 Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?
 Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,
 Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.
 Jeżeliby do skutku przyszło ożenienie,
 Telimena w ich domu miałaby schronienie
 Na przyszłość, krewna Zosi i Hrabiego swatka,
 Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka.

Po tej s sobą odbytej, stanowczej naradzie,
 Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
 Stała, trzymając w rękę podniesione sito,
 Do nóg jej biegło ptastwo; stąd kury szurpate
 Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,
 Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
 I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
 Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;
 Za niemi zwolna indyk sunie się odęty
 Sarkając na trzypiałstwo swęj krzykliwej żony;
 Owdzie pawie jak tratwy długimi ogony

Stępują się po łące, a gdzie niegdzie z góry
 Upada jak kiść śniegu gołąb' srebrnopióry.
 W pośrodku zielonego okręgu murawy,
 Sciska się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,
 Opasany gołębi sznurem, nakształt wstęgi
 Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi.
 Tu dzioby bursztynowe, tam czubki s koralu
 Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby spod fali:
 Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
 Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;
 Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
 Sama biała i w długą bieliznę ubrana
 Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;
 Czerpie s sita i sypie na skrzydła i głowy,
 Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
 Krup jęczmiennych: to ziarno godne pańskich stołów,
 Robi się dla zaprawy litewskich rosołów,
 Zosia je wykradając s szafy ochmistrzyni
 Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie : Zosiu ! to głos ciocie !
 Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,
 A sama kręcąc sito, jako tanecznicą
 Bębnek i w takt bijąc, swawolna dziewica
 Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury :
 Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.
 Zosia stopami ledwie dotykając ziemi,
 Zdawała się najwyżej bujać między niemi ;
 Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
 Leciąły, jak przed wozem bogini roskoszy.

Zosia przez okno s krzykiem do alkowy wpadła,
 I na kolanach ciotki zadyszana siadła ;
 Telimena całując i głaszcząc pod brodę,
 Z radością zważa dziecka żywość i urodę
 (Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę.)
 Ale znowu poważnie nastroiła lice,
 Wstała i przechodząc się wszerek i wzdłuż alkowy,
 Dzierżąc palec przy ustach, temi rzekła słowa :

Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz
 I na stan i na wiek twój ; wszak to dziś zaczynasz

Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki,
 Fi ! to godna zabawka dygnitarskiej córki.
 I z umurzaną działawą chłopską już do woli
 Napieściłaś się ! Zosiu ! patrząc serce boli ;
 Opaliłaś okropnie płeć, czysta cyganka,
 A chodzisz i ruszasz się, jak parafianka.
 Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę,
 Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,
 Do salonu, do gości, gości mamy siła,
 Patrząjżeż ażebyś mnie wstydu nie zrobiła.

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,
 I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,
 Płakała i śmiała się na przemian z radości.
 Ach ciociu ! już tak dawno nie widziałam gości ;
 Od czasu jak tu żyję s kury i indyki,
 Jeden gość co widziałam to był gołąb' dziki ;
 Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkowie,
 Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie.

Sędzia ! przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał
 Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał

Ze już jesteś dorosłą; sam nie wie co pleciesz,
 Dziadus nigdy na wielkim niebywały świecisz.
 Ja wiem lepiej jak długo trzeba się sposobić
 Panience, by wyszedłszy na świat efekt zrobić.
 Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,
 Choć piękny, choć rozumny efektów nie wzbudzi,
 Gdy go wszyscy przywykną widzieć od małego.
 Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienska,
 Nagle ni stąd ni zowąd przed światem zabłyśnie,
 Wtenczas każdy się do niej przez ciekawość cisnie,
 Wszystkie jej ruchy, rzuty oczu jej uważa,
 Słowa jej podsłuchiwa i drugim powtarza:
 A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,
 Każdy ją chwalić musi, choć i niepodoba.
 Znać się, spodziewam się że umiesz; w stolicy
 Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
 Niezapomniałaś jeszcze całkiem Petersburga.
 No, Zosio, toaletę rób, dostań tam z biórka,
 Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.
 Spiesz się, bo lada chwila wrócą s polowania.

Wezwano pokojową i służącą dziewczkę;

W naczynie srebrne wody wylano konewkę,
 Zosia jak wróbel w piasku, trzepioce się; myje
 S pomocą sługi ręce, oblicze i szyję.
 Telimena otwiera Petersburskie składy,
 Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,
 Pokrapia Zosię wkoło wybora perfumą,
 (Woń napełniła izbę) włos namaszcza gumą.
 Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,
 I trzewiki Warszawskie białe atlasowe;
 Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,
 Potem rzuciła na gors Pannie pudermanik,
 Zaczęto przypieczone zbierać papiloty,
 Pukle, że nazbyt krótkie uwito w dwa sploty,
 Zostawując na czole i skroniach włos gładki;
 Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki
 Uwiązawszy w plecionkę daje Telimenie;
 Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,
 S prawej strony na lewo: kwiat od białych włosów
 Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!
 Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.
 Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę,
 Chusteczkę batystową białą w ręku zwią,

I tak cała wygląda biała jak lilija.

Poprawiwszy raz jeszcze i włosów i stroju,
Kazano jęj wzdłuż i w szerz przejść się po pokoju;
Telimena uważa znawczyni oczyma,
Musztruje siostrzenicę, gniewa się i zżyma;
Aż na dygnienie Zosi krzygnęła z rozpaczy,
Ja nieszczęśliwa! Zosiu widzisz, co to znaczy
Życ z gęsmi, s pastuchami! tak nogi rosszerzasz
Jak chłopic, okiem w prawo i w lewo uderzasz,
Czysto rozwódka! — dygnij, patrz jaka niezwinna!
— Ach ciociu, rzekła smutnie Zosia, coż ja winna,
Ciotka mnie zamykała; nie było s kim tańczyć,
Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;
Ale poczekaj ciociu, niechno się pobawię
Trochę z ludźni, obaczysz jak się ja poprawię.

Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej s ptastwem
Niż s tém co u nas dotąd gościło plugastwem;
Przypomnij tylko sobie, kto tu u nas bywał:
Pleban co pacierz mrucał, lub w warcaby grywał,
I palestra s fajkami! to mi kawalery!

Nabrałabyś się od nich pięknej manieri.
Teraz to pokazać się jest przynajmniej komu,
Mamy przecież uczciwe towarzystwo w domu.
Uważaj dobrze Zosiu, jest tu Hrabia młody,
Pan, dobrze wychowany, krewny wojewody,
Pamiętaj być mu grzeczną —

Słychać rzenie koni

I gwar myśliwców; już są pod bramą: to oni!
Wziąwszy Zosię pod rękę pobiegła do sali.
Myśliwi na pokoje jeszcze niewchadzali,
Musieli po komnatach odmieniac swą odzież,
Niechcąc wnieść do dam w kurtkach. Pierwsza wpadła młodzież,
Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przybrani.

Telimena sprawuje obowiązki Pani,
Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,
I siostrzenicę wszystkim s kolei przedstawia:
Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską;
Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,
Chciał coś do niej przemówić, już usta otworzył,
Ale spójrząwszy w oczy Zosi tak się strwożył,

Ze stojąc niemy przed nią, to płonał, to bladnął;
 Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.
 Uczuł się nieszczęśliwym bardzo — poznał Zosię!
 Po wroście i po włosach światłych i po głosie;
 Tę kibic i tę główkę widział na parkanie,
 Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie.

Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamieszania,
 Widząc że bladnie i że na nogach się słania,
 Radził mu odejść do swój izby dla spoczynku;
 Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,
 Nic nie mówiąc — szerokie, obłądne źrenice
 Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.
 Dostrzegła Telimena, iż pierwsze spojrzenie
 Zosi, tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;
 Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana
 Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.
 Wreszcie czas upatrzwszy ku niemu podbiega:
 Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega,
 Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty;
 Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,
 Nie nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:

Tém bardziej Telimenę pomieszał i zdziwił.
 Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy,
 Powstała zagniewana, i ostremi słowy
 Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty;
 Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukłuty,
 Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa splunął,
 Krzesło nogą odepchnął i s pokoju runął,
 Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem że tej sceny
 Nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole;
 Jak szczupak, gdy mu oścień skrós piersi przekole,
 Pluska się i nurtuje myśląc że uciecze,
 Ale wszędzie żelazo i sznur s sobą wlecze:
 Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
 Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,
 Bez celu i bez drogi; aż nie mało czasu
 Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu
 I trafił czy umyślnie, czyli też przypadkiem,
 Na wzgórek co był wczora szczęścia jego świadkiem,
 Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,
 Miejsce jak wiemy, zwane *Świątynią dumania*.

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega, to ona!
 Telimena, samotna, w myślach pograżona,
 Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,
 W bieliznie, na kamieniu, sama jak kamienna;
 Twarz schyloną w otwarte utuliła dłońie,
 Choć nie słyszysz szlochania, znać że we łzach tonie.

Daremnie broniło się serce Tadeusza:
 Ulitował się, uczuł że go żal porusza,
 Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
 Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:
 Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił;
 Więc zwolna głowę ku niej z za drzewa wychylił.
 Gdy nagle Telimena zrywa się s siedzenia,
 Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skrós strumienia,
 Roskrzyżowana, z włosom rozpuszczonym, błada,
 Pędzi w las, podskakuje, przykłęka, upada,
 I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,
 Widać z jej ruchów w jakiej strasznej jest męczarni;
 Chwyta się za piers, szyję, za stopy, kolana;
 Skoczył Tadeusz myśląc że jest pomieszana,
 Lub ma wielką chorobę. Lecz z innej przyczyny

Pochodziły te ruchy.

U bliskiej brzeziny

Było wielkie mrowisko, owad gospodarny
 Snuł się wkoło po trawie, ruchawy i czarny;
 Nie wiedzieć czy s potrzeby, czy z upodobania,
 Lubił szczególnie zwiedzać świątynię dumania;
 Od stołecznego wzgóрка aż po źródła brzegi
 Wydeptał drogę, którą wiodł swoje szeregi.
 Nieszczęściem Telimena siedziała śród drożki;
 Mrówki znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
 Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
 Telimena musiała uciekać, otrząsać,
 Nakoniec na murawie sięść i owad łowić.

Niemógł jej swęj pomocy Tadeusz odmówić;
 Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,
 Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył—
 W tak przyjaźnej postawie, choć nie nie mówili
 O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;
 I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,
 Gdyby ich nie przebudził dzwonek s Soplicowa —

Hasło wieczery: pora powracać do domu,
 Zwłaszcza że słychać było opodał trzask łomu.
 Może szukają? razem wracać nie wypada;
 Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,
 A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi;
 Oboje w tym odwrócić mieli nieco trwogi:
 Telimenie zdało się, że raz s poza krzaka
 Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;
 Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi
 Pokazał się na lewo cień biały i długi,
 Co to było nie wiedział, ale miał przecucie,
 Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczczano w zamczysku. Uparty Protazy
 Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,
 W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,
 I kredens doń (jak mówi) zaintromitował.
 Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem,
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
 Idąc kłaniał się damom starcom i młodzieży.
 Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna

Po prawej stronie męża, ma Podkomorzyna.
 Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,
 Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;
 Mężczyznom dano wódkę; zaczęli wszyscy siedli,
 I chłodnik zabielały mileząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
 W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;
 Jedzą, piją a milezą wszyscy. Nigdy pono
 Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
 Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
 Tyle wesołych słyssał i odbił wiwatów,
 Niepamiętano takiej posępnej wieczery;
 Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
 Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
 Rzekłbyś iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milezenia: myśliwi
 Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;
 Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,
 Postrzegają że wyszli z niej nie z wielką sławą:
 Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,

Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi,
Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!
Cóż o tym będą gadać w Oszmianie i Lidzie,
Które od wieków walczą s tutejszym powiatem
O pierwszeństwo w strzelectwie; myśleli więc nad tém.

Zaś Assessor i Rejent prócz wspólnych niechęci,
Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
W oczach im stoi niecny kot, skoki wyciąga,
I omykiem spod gaju kiwając uraga,
I tym omykiem ćwiczcy po sercach jak biczem:
Siedzieli s pochyloném ku misie obliczem.
Assessor nowe jeszcze miał powody żalów,
Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.

Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,
Pomiészana, zaledwie śmie nań rzucić okiem;
Chciała zasępionego Hrabiego zabawić,
Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić:
Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił s przechadzki,
A raczej jako myślił Tadeusz z zasadzki;
Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,

Brwi zmarszczył, spojrzzał na nią ledwie nie s pogardą;
Potém przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi,
Nalewa jęj do szklanki, talerze przynosi,
Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiewa,
Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.
Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,
Że umizgał się, tylko na złość Telimencie;
Bo głowę odwracając niby nie umyślnie,
Co raz ku Telimencie groźnem okiem błysnie.

Telimena nie mogła pojąć co to znaczy,
Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.
Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość rada,
Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz téż posępny nie nie jadł, nie nie pił,
Zdawał się słuhać rozmów, oczy w talerz wlepił;
Telimena mu leje wino, on się gniewa
Na natrętność; pytany o zdrowie — poziewa.
Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora)
Że Telimena zbyt do zalotów skora;
Gorszy się że jęj suknia tak wcięta głęboko,

Nie skromnie — a dopiero, kiedy podniosł oko!
 Aż przeląkł się, bystrzejsze teraz miał źrenice,
 Ledwie spójrzył w rumiane Telimeny lice,
 Odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę!
 Przebóg, naróżowana!

Czy róż w złym gatunku,

Czy jakoś na obliczu przetarł się s trefunku:
 Gdzieńgdziezrzędniał, na wskrós grubszą pteć odsłania.
 Może to sam Tadeusz w *Świątyni dumania*,
 Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła
 Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.
 Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,
 I poprawić kolory swe nie miała czasu;
 Około ust szczególnież widne były piegi.
 Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,
 Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiędzać
 Resztę wdzięków, i wszędzie, jakiś fałsz wysledzać:
 Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
 Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!
 Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,

Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie
 Być szpiegiem swęj kochanki; nawet jak szkaradnie,
 Odmieniać smak i serce—lecz któż sercem władnie?
 Darmo chce brak miłości zastąpić sumnieniem,
 Chłód duszy ogrzać znowu jęj wzroku promieniem:
 Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,
 Błyskał po wierzech duszy, która do dna krzepła..
 Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,
 Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tym czasem zły duch nową pokusą go wabi,
 Podsłuchiwać co Zosia mówiła do Hrabi:
 Dziewczyna uprzejmością Hrabiego ujęta,
 Z razu rumieniła się spuściwszy oczęta,
 Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali,
 O jakimś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,
 O jakimś po łopuchach i grzędach stapaniu.
 Tadeusz wyciągnąwszy co najdlużej uszy,
 Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.
 Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie zmią,
 Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,
 Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,

Groząc stopie co na nią nieostróżnie biegnie ;
 Tak Tadeusz opiły trucizną zazdrości,
 Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu niech się kilku gniewa,
 Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.
 Strzelecy dawniej milczeli, druga stołu strona
 Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
 Nie miał ochoty gadać; widząc swoje córy
 Posażne i nadobne Panny, w wieku kwiecie,
 Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
 Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.
 Gościnnego Sędziego również to obchodzi;
 Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,
 Nazywał tę wieczerzą nie polską, lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
 Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.
 Nie dziw! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
 Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach;

Przywykł żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,
 Nawet wtenczas, gdy milczał, lub s placką za muchą
 Skradał się, lub zamknawszy oczy siadał marzyć ;
 W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć
 Pacierze różańcowe, albo gadać bajki :
 Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
 Wymyślonej od Niemców by nas scudzoziemczyk,
 Mawiał : Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.—
 Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w gwarze,
 Milczenie go budziło ze snu : tak młynarze
 Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,
 Budzą się krzycząc s trwogą : a słowo stało się.

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
 A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
 Prosząc o głos; Panowie na ten ukłon niemy
 Odkłonili się oba, co znaczy : prosimy.
 Wojski zagaił.

« Smiałbym upraszać młodzieży,
 Ażebym postaremu bawić u wieczerzy,
 Nie milczeć i żuć : czy my Ojce Kapucyni ? »

Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
 Jako myśliwiec który nabój rdzawi w strzelbie :
 Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.
 Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,
 Ale aby nawzajem mogli się wygadać,
 Co każdy miał na sercu ; nagany, pochwały
 Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
 Wywoływano na plac ; powstawała wrzawa,
 Miła uchu myśliwców, jak druga obława.
 Wiem, wiem o co wam idzie : ta czarnych trosk chmura
 Pono z Robakowego wzniosła się kaptura !
 Wstydzicie się swych pudeł ! niech was wstyd nie pali,
 Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali ;
 Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka.
 Ja sanu, chociaż ze strzelbą włoczę się od dziecka,
 Chybiałem ; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,
 Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.
 O Rejtanie opowiem później. Co się tycze
 Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
 Zwierzowi jak należy kroku niedostali
 Choć mieli oszczep w rękę, tego nikt nie chwali,
 Ani gani : bo zmykać mając nabój w rurze

Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze,
 Toż wystrzelić na oślep (jak to robi wielu)
 Nie przypuściwszy zwierza, nie wzięwszy do celu,
 Jest rzecz haniebna ; ale kto dobrze wymierzy,
 Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,
 Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
 Albo waleczyć oszczepem, lecz z własnej ochoty
 A nie z musu : gdyż oszczep strzelcom poruczony,
 Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
 Tak było po staremu : a więc mnie zawiercie,
 I waszój rejterady do serca niebiercie,
 Kochany Tadeuszk i Wielmożny Grafie ;
 Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
 Wspomnijcie też starego Wojskiego przestroge,
 Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
 Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny.

Właśnie Wojski wymawiał to słowo zwierzyny,
 Gdy Assessor półgębkiem podszeptął : dziewczyny ;
 Brawo krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,
 Powtarzano s kolei przestroge Hreczechy,
 Mianowicie ostatnie słowo : ci zwierzyny,

A drudzy w głoś śmiejąc się krzyczeli dziewczyny ;
Rejent szepnął : kobiety, — Assessor : kokiety,
Utkwiwszy w Telimenie oczy jak sztylety.

Nie myślał wcale Wojski przymawiać nikomu,
Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu ;
Rad bardzo że mógł damy i młodzież rośmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.
I zaczął, nalewając sobie kielich wina :

« Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna ;
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia dzisiejszej obławy.
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka ;
Ja zaś znałem drugiego : równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów ; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,
Tadeusz Rejtan poseł i książę Denassow.
Nie zazdrościli sławie szlacheica panowie,
Owszem u stołu, pierwsi wnieśli jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,

I skórę zabił tego dzika : o tym dziku
J o strzale, powiem wam jak naoczny świadek ;
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,
A zdarzył się największym strzeleom za mych czasów,
Posłowi Rejtanowi i Księżciu Denassow.

A w tém ozwał się Sędzia nalewając czasę :
Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze.
Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,
Postaramy się przecież za proch mu zapłacić,
Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru,
Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
Lecz skóry Księdzu niedam ; lub gwałtem zabiorę,
Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
Skórą tą rozrządzimy wedle naszej woli ;
Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,
Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył ;
Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,

Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,
 Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił
 Znowu w ostęp. Assessor z Rejentem się kłócił,
 Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,
 Drugi bałabanowskię swęj Sagalasówki.

Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,
 Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;
 Lecz nie śacno rozsądzić kto jest po nim drugi,
 Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
 Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.
 Przecież dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem,
 Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura,
 Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.
 Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny)
 Jako młodszy i jako Gospodarza krewny;
 Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia.
 Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
 Niechaj pamiątką będzie dzisiejszćj zabawy,
 Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłćj sławy.

Umilknął wesoł, myśląc że Hrabieę ucieszył,

Nie wiedział jak boleśnie serce jego przeszyl.
 Bo Hrabia na strzeleckiej komnaty wspomnienie,
 Mimowolnie wzrok podnosił; a te łhy jelenie,
 Te gałęziste rogi jakby las wawrzynów
 Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
 Te rzędami portretów zdobione filary,
 Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,
 Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;
 Zbudził się z marzeń, wspomniął, gdzie, u kogo gości,
 Dziedzic Horeszków, gościem środ swych własnych progów,
 Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!
 A przytćm zawiść którą czuł dla Tadeusza,
 Tćm mocnićj Hrabieę przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: mój domek zbyt mały,
 Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;
 Niech lepićj niedźwiedź czeka pośrod tych rogaczy,
 Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.

Podkomorzy zgadując na co się zanosi,
 Zadzwoził w tabakierę złotą, o głos prosi.

Godzienes pochwał, rzece, Hrabio mój sąsiedzie,
 Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie;
 Nie tak jak modni wieku twojego panice,
 Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę
 Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie;
 Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.
 Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić
 Ziemią, w sposób następny — Tu zaczął wywozić
 Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłej zamiany;
 Już był w połowie rzeczy; gdy ruch niespodziany
 Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,
 Wskazują palcem, drudzy z oczyma tam biegli,
 Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosa schylone,
 Wstecznym wiatrem w przeciwną zwróciły się stronę,
 W ką.

S kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka
 Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,
 Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary,
 Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.
 Gerwazy; poznano go po wroście, po licach,
 Po srebrzystych na żółtej kurcie Półkozicach.

Stąpił jako słupek prosto, niemy i surowy,
 Niezdjawszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;
 W rękę trzymał błyszczący klucz jakby puginał,
 Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
 Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;
 Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
 Południe wskazywały często o zachodzie;
 Gerwazy nie przybrał się machyny naprawić,
 Ale bez nakręcenia nie chciał jej zostawić,
 Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;
 Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.
 Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę
 Stron interessowanych, on pociągnął wagę:
 Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
 Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rosprawę.
 Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę —
 I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę
 Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru;
 I wnet gil który siedział na wierzchu zegaru,
 Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nótę:

Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,
Zajakał się i piszczał, im dalej tém gorzej.
Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.
Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,
Jeśli dziob twój szanujesz, dość mi tego krzyku.

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,
Prawą rękę poważnie na zegar położył,
A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty,
Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,
Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach
Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:
Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę. —
— Za drzwiz nim. Podkomorzy krzyknął.

— Panie Hrabia!

Zawołał Klucznik, widzisz Pan co się wyrabia:
Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,
Że Pan jadasz i pijasz s temi Soplicami;
Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
Gerwazego Rembayłę, Horeszków Klucznika,

Lżyć w domu Panów moich, i Pan że to zniesie!
— Wtém Protazy zawołał trzykroć: Uciszcie się,
Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,
Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
Vulgo Woźny, woźneńską obdukcją robie
I wizją formalną, zamawiając sobie
Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo
I pana Assessora wzywając na śledztwo,
S powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:
O inkursyą, to jest o najazd granicy,
Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,
Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.
— Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę;
I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,
Okręcił w koło głowy, puścił s całej mocy;
Pęk żelaza wyleciał, jako kamień s procy.
Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci;
Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha
Cichość, aż Sędzia krzyknął: w dyby tego zucha!
Hola chłopczy! — i czeladź rzuciła się żwawo

Ciasnym przejściem pomiędzy ścianami i ławą;
 Lecz Hrabia krzesłem w środku zagroził im drogę —
 I na tym szanctu słabym utwierdziwszy nogę,
 Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu
 Krzywdzić służbę moją w moim własnym domu;
 Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży.

Zysem w oczy Hrabiemu spojrział Podkomorzy.
 « Bez Waszcini pomocy ukarać potrafię
 Zuchwałego szlachetkę; a Wasć Mości Grafie,
 Przed dekretem ten zamek zawczasie przywłaszczasz;
 Nie Wasć tu jesteś panem, nie Wasć nas ugaszczasz :
 Siedz cicho jakieś siedział; jeśli siwój głowy
 Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.

— Co mi? odmruknął Hrabia, dość już tój gawędy,
 Nudźcie drugich waszemi względami i urzędami;
 Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Wasć państwem
 W pijatyki, które się kończą grubijaństwem.
 Zdacie mi sprawę z mego honoru obraży;
 Do widzenia po trzeźwu — pódź za mną Gerwazy.

Nigdy się odpowiedzi takiej niespodziewał
 Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,
 Gdy zuchwałswem Hrabiego rażony jak gromem,
 Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
 Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,
 Oczy rozwarł szeroko, usta w pół otworzył;
 Milczał, lecz kielich w rękę tak potężnie cisnął,
 Że szkło dźwięknawszy pękło, płyn w oczy mu prysnął.
 Rzekłbyś że z winem ognia w duszę się nalało,
 Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało;
 Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie
 Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało : Błaźnie!
 Grafiatko! ja cię! Tomasz! karabellę! Ja tu
 Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!
 Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!
 Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płaćnę.
 Fora za drzwi! do korda! Tomasz, karabellę!

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
 Sędzia porwał mu rękę : « Stój Pan, to rzecz nasza,
 Mnie tu naprzód wyzowano, Protazy, pałasza!
 Puszczę go w taniec jako niedźwiadka na kiju —

Lecz Tadeusz Sędziogo wstrzymał — Panie stryju,
 Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi
 Wdawać się s tym fireykiem, czy tu nie ma młodzi?
 Na mnie to zdajcie, ja go należyście skarczę;
 A Waszeć Panie śmiałku co wyzywasz staree,
 Obaczym czyli jesteś tak strasznym rycerzem;
 Rosprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.
 Dziś uchodź pókiś cały —

Dobra była rada;

Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.
 Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,
 Ale z ostrego końca latały butelki
 Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety
 W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: niestety!
 Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,
 I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,
 Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.
 Hrabia choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,
 Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,

Wystawiony na stołków i butelek razy,
 Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście
 Rzucała się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście
 Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjeta,
 Zasłania starca na krzyż rospiąwszy rączeta —
 Wstrzymali się; Gerwazy z wolna ustępował,
 Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował;
 Gdy nagle, z drugiej strony wyszedł jak spod ziemi,
 Podniosłszy w górę ławę ramiony silnemi,
 Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,
 Wziął Hrabie i tak oba ławą zasłonieni
 Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,
 Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrział na wrogów,
 Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,
 Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.
 Obrał drugie; już ławę jak taran murowy
 W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąłszy głowy,
 Z wypiętą na przód pierśią, s podniesioną nogą
 Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczył w sercu trwogę.

Wojski cicho siedzący s przymrużoném okiem,
 Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém;

Dopiero gdy się Hrabia s Podkomorzym skłócił
 I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,
 Zażył dwakroć tabaki i przetał powieki.
 Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
 Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,
 O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
 Przypatrywał się zatem s ciekawością walce,
 Wyciągnął zlekka na stół rękę dłoń i palce,
 Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
 Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia,
 Potem rękę w tył nieco wychyloną kiwał
 Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,
 Już była zaniedbana podówczas na Litwie,
 Znajoma tylko starym; Klucznik jej próbował
 Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej celował.
 Widać z zamachu ręki że silnie uderzy,
 A z oczu ślaczno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy
 (Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)
 Mniej baczni młodzi ruchów starca niepojęli;
 Gerwazy zbladnął, ślawą Hrabiego zakłada,

Cofa się kudrzwiom. — «Łapaj!» krzyknęła gromada.

Jako wilk obskoczony znieacka przy ścierwie,
 Rzuca się oślep w zgraję co mu ucztę przerwie,
 Już goni, ma ją szarpać, wtém sród psiego wrzasku
 Trzasło ciche półkorecze, wilk zna je po trzasku,
 Śledzi okiem, postrzega, że s tyłu za charty,
 Myśliwiec wpół schylony, na kolanie wsparty
 Rurą, ku niemu wije, i już cyngla tyka;
 Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,
 Psiarnia s tryumfującym rzuca się bałasem,
 I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,
 Spojrzy, klapnie paszczęką, i białych kłów zgrzytem
 Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem.
 Taki Gerwazy z groźną cofał się postawą,
 Wstrzymując napastników oczyma i ślawą,
 Aż razem z Hrabią wpadli w głąb' ciemnej framugi.

«Łapaj!» krzykniono znowu; tryumf był nie długi:
 Bo nad głowami tłumu Klucznik nie spodzianie
 Ukazał się na chorze, przy starym organie,
 I s trzaskiem jał wrywać ołowiane rury,

Wielkąby klęskę zadał uderzając z góry.
 Ale już goście tłumnie wychodzili s sieni,
 Nieśmieli kroku dostać sładzu potrwożeni,
 I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,
 Nawet nakrycia s częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, niedbając na groźby i razy
 Ustąpił s placu bitwy? Brzechalski Protazy.
 On za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
 Ciągnął woźnińskim głosem swoje oświadczenie,
 Aż skończył, i s pustego szedł pobojuwiska,
 Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy
 Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,
 Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
 Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
 Między licznymi kurecząt i jendykow ciałły,
 W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku,
 Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.

Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady
 Leżą, podobne uczucie nocej, gdzie na dziady
 Zgromadzać zakłete mają nieboszczyki.
 Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
 Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca,
 Którego postać oknem spadła na stół, drżąca
 Niby dusza czyscowa; s podziemiu, przez dziury
 Wyskakiwały nakształt potępieńców szczury:
 Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana
 Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugim piętrze, w izbie którą zwano,
 Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
 Stał Hrabia na krużganku zwroconym ku bramie;
 Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramie,
 Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
 I pierś surdudem jakby płaszczem udrapował.
 Gerwazy chodził kroki wielkimi po sali;
 Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:
 —Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.
 —Zamek, rzekł Klucznik i wieś, oboje to nasze.
 —Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemie,

Wyzywaj—Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
 Zabieraj Pan — to mówiąc zwrócił się do Hrabi —
 Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
 Poco process, Mopanku! sprawa jak dzień czysta,
 Zamek w rękę Horeszków był przez lat czterysta;
 Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
 I jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.
 Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
 Za kosztą processowe, za karę grabieży.
 Mówiłem Panu zawsze, processów zaniechać,
 Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;
 Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie,
 Ten dziedzie; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
 Co się tycze dawniejszych s Soplicami sprzeczek,
 Jest na to od processu lepszy scyzoryczek;
 A jeśli Maciej w pomoc da mi swą różeczkę,
 To my we dwóch, Sopliców tych porznięm na sieczkę.

Brawo! rzekł Hrabi, plan twój, gotycko - sarmacki,
 Podoba się mi lepiej, niż spór advokacki.
 Wiész co? na całe Litwie narobim hałasu
 Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.

I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
 Jakąż bitwę widziałem? s chłopami o miedzę.
 Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wroży;
 Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.
 Gdym w Sycylji bawił u pewnego księcia,
 Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
 I okupu od krewnych żądali zuchwale;
 My zebrawszy na prędce sługi i Wassale,
 Wpadliśmy; ja dwóch zbojców ręką mą zabiłem,
 Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
 Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
 Jak piękny nasz powrót, rycersko - feudalny!
 Lud s kwiatami spotykał nas — córka księżęcia
 Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.
 Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
 Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.
 Nawet wydrukowano o całym zdarzeniu
 Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
 Romans ma tytuł: *Hrabi, czyli tajemnice*
Zamku Birbante—rokka. Czy są tu ciemnice
 W tym zamku? Są rzekł Klucznik, ogromne piwnice,
 Ale puste! bo wino wypili Soplice.

— Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,
 Z włości wezwać Wassalów! — Lokajów? broń Boże!
 Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
 Kto widział zajazd robić s chłopstwem i z lokajstwem?
 Mój Panie, na zajazdach nieznacie się wcale;
 Wąsalów co innego, zdadzą się wąsale:
 Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
 W Dobrzynie, w Rzekikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach;
 Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,
 Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,
 Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
 Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlacheiców;
 To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca,
 I wyspi się, bo jutro będzie wielka praca;
 Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje;
 Ja tu będę pilnować zamku aż rozdnieje,
 A ze słończkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.

Na te słowa Pan Hrabia ustąpił s krążanku;
 Ale nim odszedł, spójrzał przez otwór strzelnicy,
 I widząc światła mnóstwo w domostwie Soplicy,
 Illuminujcie! krzyknął, jutro o tój porze,

Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze.

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
 I pochylił ku piersiom czoło zadumane;
 Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,
 Gerwazy po nim kryślił palcem różne rysy;
 Widać że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
 Ciężą mu coraz bardziej powieki brzemienne,
 Bezwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,
 Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
 Lecz między Ojczenaszém i Zdrowaś Maryą,
 Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:
 Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne Pany,
 Ci niosą karabelle, drudzy buzdygany,
 Każdy groźnie spojiera i pokręca wąsa,
 Składa się karabellą, buzdyganem wstrząsa —
 Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
 S krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
 Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,
 I ażeby tém pewniej straszne sny rozegnać,
 Odmawiał litaniją o czyscowych duszach.
 Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach—

Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabelle:
 Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!
 I ogląda sam siebie: jak na koniu siwym,
 Spodniesionym nad głową rapiérem straszliwym
 Leci; rospięta na wiatr szumi taratka,
 Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;
 Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,
 I nakoniec Sopllicę w stodole podpala —
 Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
 I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.



OBJAŚNIENIA.

Ostatni zajazd na Litwie.

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnej policji pod swemi rozkazami, a obywatele możni trzymali nadworne pólki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto tysięcy wojaka. Żalujący więc uzyskawszy dekret musiał po wykonaniu udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w rękę i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żalującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka egzekucja zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. — W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożliwsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djablem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 9, w. 5. Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrrej świecisz Bramie.

Wszystcy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnej górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogródku, tudzież Żyrowickiej i Boruńskiej.

Str. 14, w. 5. Nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) był niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż Osobom poważnym, nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Obożnym, Stolnikiem lub Podeczasym, z razu w rozmowie tylko i w korespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd Rosyjski zabraniał podobnych tytułów, i pragnąłby je śmiesznością okryć a wprowadzić na ich miejsce, tytułowanie podług rang swojej hierarchji, do której Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 14, w. 19. . . . Ale nie myśl wcale,
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd Rosyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od

razu praw i instytucji cywilnych, ale je powoli ukazami podkopuje i roztacza. W Małorossyi na przykład, utrzymo aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony. Litwie zostawiono całe dawne urządzenie Sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu Sędziowie ziemscy i grodzczy w powiatach, i Sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instancji, przy sądach więc miejscowych, ledwie pozostał cień dawnej powagi tradycyjnej.

Str. 16, w. 1. Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitatis, za rządu Rosyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników czyli mierznicznych powiatowych.

Str. 19, w. 11. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo jenerał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 28, w. 11. Biegali za nim wszyscy jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiami drobne ptastwo szczególnie jaskulki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie: latać jak za rarogiem.

Str. 32, w. 13. Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 34, w. 21. Assessora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assessorowie składają policją ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasemznaczani od Rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie appellacyjni zowią się także Assessorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelarją, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Str. 45, w. 3. Coby Rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 45, w. 9. Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz ostatni Pisarz W. X. Litewskiego, czynnienie należal do powstania Litwy pod Jasińskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnot i patriotyzy mu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 47, w. 21. Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka zlotogłowu i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 49, w. 2. Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron processujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć takową wokandę.

Str. 51, w. 11. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektorjatowi zdobyte chorągwie.

Str. 51, w. 12. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Książę Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła.

W Emigracji jest kilku Weteranów pozostałych z owęj nieszcześniejszej wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

Str. 68, w. 18. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 71, w. 7. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 81, w. 19. Lub z wicia bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, któremi Litwini prowadzą handel s Prussami, splawiając zboża, i biorąc wzamian za nie towary kolonialne.

Str. 97, w. 9. Książę Dominik, kiedym z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwill, wielki miłośnik polowania, — emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linia męska Książąt na Ołyce i Nieświeżu, największych Panów w Polsce i zapewne w Europie.

Str. 97, w. 11. . . . z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowej za Kościuszki. Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 114, w. 10. Panienki za wysmukłym gonią borowikiem, Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna, o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W tej pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 132, w. 9. Nasz malarz Orłowski. . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł, niedawno w Petersburgu.

Str. 138, w. 14. . . . Dwie Pijawki,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Srabczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierzca, szczególniej niedźwiedzia.

Sprawnik czyki kapitan *Sprawnik*, naczelnik Policji Ziemskiej — *Strabery*, rodzaj Prokurora rządowego. Urzędnicy ci mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiem są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 144, w. 5. Ukołysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki Książę Gedymin miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lidzkiej założył miasto Wilno.

Str. 144, w. 26. Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 145, w. 2. Czy żyje wielki Baublis.

W powiecie Rosińskim w majątności Paszkiewicza Pisarza Ziemskiego, rośl dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygnilego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 145, w. 5. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem.

Nie daleko fary Nowogrodzkiej, rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

Str. 145, w. 15. Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Ob. Poema Goszczyńskiego « Zamek Kaniowski. »

Str. 156, w. 2. Kołomyjek z Halicza.

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 156, w. 16. Znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinym. . .

Ob. przyp. do str. 81, w. 18.

Str. 157, w. 12. Miejsce zwane pokuciem.

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd rossyjanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa którego chce uczcić.

Str. 169, w. 20. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy Ornitologowie.

Str. 170, w. 2. Stąd to w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście, nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy
szkielet zdechłego zwierza.

Str. 179, w. 2. A co fuzyjka moja, nie wielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie
się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzyj ptaka w lot
trafiają.

Str. 184, w. 1. Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej, bywają na dnie listki złota.

Str. 191, w. 14. . . . Taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznąć na pasy skórę wołową, i
tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole,
gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego
zdarzenia nie w Eneidzie, ale zapewne w Komentarzach
Scholiastów.

Str. 212, w. 1. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi.

Raz na Sejmie poseł *Filip* ze wsi dziedzicznej *Konopie*,
zabrawszy ęłos, tak dalece odstąpił od materji, że wzbu-
dził śmiech powszechny w Jzbie. Stąd urosło przysłowie:
wyrwał się jak Filip s konopi.

NB. Niektóre miejsca w pieśni czwartej są pióra STE-
FANA WITWICKIEGO.

OMYŁKI.

Str. 50, w. 17. Bez ręki lub nogi *popraw* : Bez ręki lub bez nogi.

Str. 52, w. 4. Piotrowki, Obolewki *popraw* : Piotrowski, Obolewski.

Str. 53, w. 10. Postrzegli to chłopcy *popraw* : Postrzegali to chłopcy.

Str. 83, w. 12. Oba dobrze puszczali *popraw* : Oba dobrze poszczuli.

Str. 111, w. 14. Cały w wiatr *popraw* : Cały kwiat.

Str. 124, w. 14. Jeśli Tadeusza *popraw* : Jeśli Tadeuszka

Str. 144, w. 20. Bym was oglądał *popraw* : Bym wrócił was oglądać
znowu

Str. 168, w. 8. W koło *popraw* : W około.

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

	strona.
KSIĘGA PIERWSZA GOSPODARSTWO	5
KSIĘGA DRUGA — ZAMEK	55
KSIĘGA TRZECIA — UMIZGI	99
KSIĘGA CZWARTA — DYPLOMATYKA I ŁOWY	141
KSIĘGA PIĄTA — RŁOTNIA	193
OBJAŚNIENIA.....	241

W TYPOGRAFII A. PINARD, PRZY WYRZEŻU VOLTAIRE, 15.



SPIS REPERT.

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....



Biblioteka Główna UMK



300044940982

Lincolnia

BIBLIOTEKA * * * *



VNIWERSYTECKA

82858

* * * * W TORUNIU * *



WADZIEŚCIA.

SPIS RZECZY.

	strona.
KSIĘGA PIERWSZA GOSPODARSTWO	5
KSIĘGA DRUGA — ZAMEK	55
KSIĘGA TRZECIA — UMIZGI	99
KSIĘGA CZWARTA — DYPLOMATYKA I ŁOWY	141
KSIĘGA PIĄTA — KŁOTNIA	193
OBJASNIENIA.....	241

W TYPOGRAFII A. BINARD, PRZY WYRZEŻU VOLTAIRE, 15.

82856

